

Osama, geniusz marketingu

10

Jak wydoić Polskę z miliardów

14

Świetlicki: Jestem małym plagiatorem

40

Nagie zdjęcia, które zachwyciły świat

44

**PRZE
KROJ**

NR 1 (3437) / 9 MAJA 2011 / CENA 3,99 ZŁ

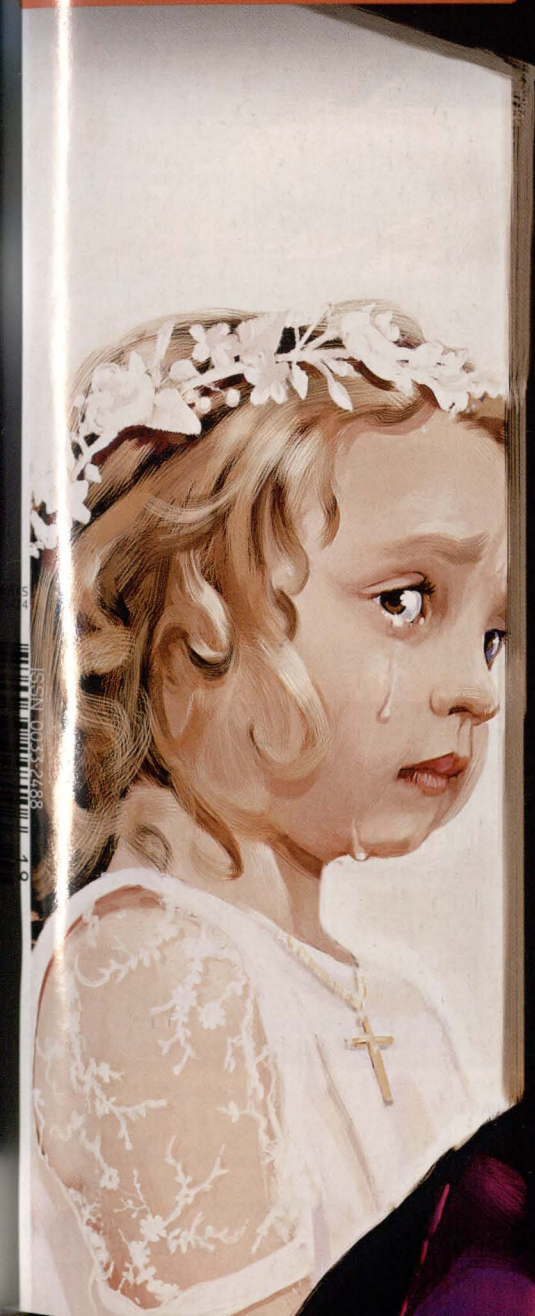
WWW.PRZEKROJ.PL

w tym 8% VAT

Gorsze dzieci Kościoła

Komunia tylko dla wybranych

6



ISSN 0033-2488

40

KTO ZAMIENIA, TEN KORZYSTA

TEN KORZYSTA
TEN KORZYSTA
TEN KORZYSTA



**BONUS ZA AUTO ZOSTAWIONE W ROZLICZENIU
KREDYT 0% PRZEZ 3 LATA*
3 LATA GWARANCJI**
UMOWA PEUGEOT OPTIWAY „UTRZYMANIE”*****

PEUGEOT REKOMENDUJE TOTAL Model prezentowany na zdjęciu może różnić się od samochodów dostępnych w ofercie. Liczba samochodów ograniczona. Oferta nie dotyczy modeli z serii specjalnych. Zużycie paliwa w cyklu mieszanym: od 4,4 do 6,6 l/100 km, emisja CO₂: od 115 do 159 g/km. * RRSO dla samochodu w cenie 50 400 zł, przy wpłacie własnej 25%, kredytowanej opłacie przygotowawczej w wysokości 5%, dla kredytu na 36 miesięcy wynosi 4,04%. ** 2-letnia gwarancja producenta + 1 rok umowy serwisowej Peugeot Optiway do 100 000 km. *** Umowa Peugeot Optiway „Utrzymanie” zawiera przedłużenie gwarancji na 3. rok eksploatacji samochodu, świadczenia assistance i wymianę części eksploatacyjnych i zużytych.

Wymiana starego samochodu na nowego Peugeot jeszcze nigdy nie była tak opłacalna. Teraz zostawiając u nas auto w rozliczeniu, zyskujesz nawet do 4000 zł. Dodatkowo oferujemy Ci kredyt 0% przez 3 lata*, 3 lata gwarancji** oraz umowę Peugeot Optiway „Utrzymanie”***. Nie bój się zmiany na lepsze! Zapraszamy do salonów! **Sprawdź także ofertę na pozostałe modele.**

PEUGEOT 308

www.peugeot.pl


PEUGEOT
MOTION & EMOTION

PRZE KROJ

Założył w roku 1945
w Krakowie redaktor
Marian Eile

„Przekrój” w sieci:

Bieży Stasiek poprzez pola
i macha ogonkiem
a na polu płocze dziewczę
splata chabry z dzwonkiem
Staną! Stasiek na ten widok
czterema łapami
zachwycony chabrowymi
dziewicy ślepiami

To mezalians! – rzyczy rozum
ale wierzga serce
w brontozaura gadzim ciele
plonąc w wielkiej męce
Cóż, że konduity ssaczej
jest oblubienica
dla miłości nie ma granic
– jej też ploną lica!

Pójdź ty ku mię, moja luba!
– Stasiek sapie czule
będziem odtąd co poranka
brodzić w rzeczonym mule
W czas obiadu strawię trawę,
trochę liści potem
a ty sobie będziesz ssala
na co masz ochotę

Wielceś łaskaw, dobry panie...
– szepnęła dziewica
i przeskromnie modre oczy
spuściła na lica
Czy ja godnam tego szczęścia?
Czyniże zasłużyłam?
Ja za takim jak ty chłopem
do księżyca wyłam!
Łapy twoje tak mocarne
i jedmy ogonek...
Czuję dreszcze, a przy udach
tupot stu biedronek

Musisz wiedzieć, o cny Stašku
że o tobie marzy
każde dziewczę w naszej wiosce
wierząc, że się zdarzy
cud, jak z bajął słodkich
o księżciu z rumakiem
lub z Ulicy Sezamkowej
szwarym Wielkim Ptakiem

Lica twoje jam ujrzala
onegdaj w „Przekroju”
i od razu pokochałam
ciebie, mój gieraju!
Tyżeś przecież celebryta
nad celebrytami
za kimś takim dziś laseczki
ganiają stadami!

Wielce się zadumał Stasiek
gdy poznał przyczynę
Czytaj „Przekrój”, łatwiej wyrwiesz
ciacho lub dziewczynę

W TYM TYGODNIU

NIECO ZDEZORIENTOWANI NIE PISZEMY...

...że głęboko poruszyła nas informacja, iż Amerykanie nadali nieświątej pamięci Osamie ben Ladenowi kryptonim Geronimo. I zachodzimy w głowę, jak politycznie poprawna administracja Demokratów mogła dopuścić, by groźnego terrorystę nazywać imieniem sławnego wodza Apaczów. I oczekujemy, że komuś spadnie za to skalp z głowy.

...że premier zapowiedział wojnę z kibolami. O skalpowaniu nie było jeszcze mowy, ale może i do tego dojdziemy.

Ze swej strony postulujemy środek najprostszy: całkowitą delegalizację futbolu. I choć nie wierzymy w aż tak straceńczą stanowczość i osobiste poświęcenie premiera, proponujemy rzecz choć rozważyć – heca przykryłaby wszystkie przeszłe, obecne i przyszłe wpadki rządu, przed wyborami jak znalazł.

...że przeczytaliśmy fragment nowej powieści Bronisława Wildsteina i nie możemy się doczekać całości, albowiem łakniemy transgresji jak kania dżdżu, a au-

tor narobił nam apetytu mistrzowską sceną erotyczną, która rozgrywała się w chwili, gdy pada rząd Jana Olszewskiego. Mamy nadzieję, że w nowej prozie autora sławnego (nomen omen) utworu „Jak woda” nie zabraknie też scen skalpowania.

...że kamień spadł nam z serca, gdy okazało się, iż czołowy fizyk PiS, niejaki poseł Ćwierz, nie zdołał – mimo wielu wysiłków – przekonać prezesa do teorii „helowego zamachu”. Bo właśnie wróciliśmy z Helu i obawialiśmy się, że będzie to nam

poczytane za co najmniej nieświadomy współudział w spowodowaniu katastrofy. Z drugiej wszakże strony trochę szkoda, bo jakże byłaby to piękna ława oskarżonych wnikliwie badanych przez mecenasa Rogalskiego: Helios, heliotrop, teoria heliocentryczna w całej rozciągłości oraz Helena Kurcewiczówna i – ma się rozumieć – Helena Łuczyno. Prosimy więc prezesa, by oszczędził skalp posła Ćwierza. Może ten bystrzak jeszcze coś fajnego wymyśli.

MARCIN SENDECKI

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

Refleksja dziewiarska: problemy na stadionach wywołują szaliki potączone w szale.

TEMAT Z OKŁADKI

6 Zdrowe i z prawego łóża przyjmą wkrótce Pierwszą Komunię Świętą. Niepełnosprawne albo nieślubne mogą usłyszeć, że są zwierzętami. **Proboszczów o średniowiecznych poglądach w Polsce nie brakuje.** Agata Jankowska i Anna Szulc szukają przyczyny

PRZEDE WSZYSTKIM

10 **Amerycanie zabili właśnie geniusza marketingu,** który handel śmiercią doprowadził do perfekcji. Kto to taki? Osama ben Laden. Jak Al-Kaida poradzi sobie bez niego, zastanawia się Łukasz Wójcik
14 Cegły, śruby, koktajle Molotowa – tym górnicy rzucają w policjantów, żeby nastraszyć polityków. **A górnicy to niejedyna grupa, która walczy o przywileje. Przywileje, za które wszyscy płacimy** – przypominają Małgorzata Świąchowicz i Agata Jankowska

ROZMOWA PRZEKROJU

18 Robert Mazurek rozmawia z **Wojciechem Waglewskim o „X-Factor”.** Ciekawe i pouczające

CYWILIZACJA

20 **Szukasz w sieci miejsca na wakacje? Niech ci się nie wydaje, że Google wskaże ci najlepsze.** On podsuwa to, co zostało najlepiej wypromowane. Piotr Stanisławski o tajnikach PageRank
23 **Korzystaj testuje Sony VAIO S.** I wiecie co? To jest fantastyczna maszyna
24 **Ciuch zmieniający kolor,** zasilający prądem iPod'a, zabijający bakterie – na śmierć! Wkrótce do kupienia w sklepie za rogiem. Magdalena Tomkowicz dowodzi, że to możliwe
26 **Też pytanie!**

NA POCZĄTEK



DONAT SZYLLER
ZASTĘPCA
REDAKTORA
NACZELNEGO

Proboszcz sprawny inaczej

Wszystkie zwierzęta są równe, ale niektóre równiejsze. Znamy to, prawda? Orwellovska myśl idzie jednak z duchem czasu. I tak na Pomorzu ksiądz proboszcz łaskaw był nazwać zwierzęciem małą Andżelikę. Dlaczego? Dziewczynka chciała przystąpić do komunii. Jednak jest „tym gorszym dzieckiem” – cierpi na zespół Downa (tę i inne historie przeczytacie na s. 6). I jak wytłumaczyć kolegom Andżeliki słowa takie jak: „niepełnosprawność”, „tolerancja”, „empatia”, „wsparcie”? Po co nam obchodzony na początku maja Dzień Godności Osób Niepełnosprawnych Intelktualnie? Jak mają działać organizacje społeczne próbujące chociaż trochę wyrównać szanse chorych dzieci? Przecież nie mogą mieć racji, skoro ksiądz dobrodziej mówi co innego. We wsi wszyscy wiedzą, że racja księdza pochodzi

od samego Boga. Jak więc zwykli ludzie mają inaczej myśleć o Andżelice? Przykład idzie z góry zarówno na Pomorzu, jak i w całej Polsce. A górą dla księdza jest episkopat. „Nie spotkałem nikogo, kto stracił wiarę po przeczytaniu Marksa i Lenina, natomiast wielu straciło ją po spotkaniu z własnym proboszczem” – mawiał ksiądz Józef Tischner. I każdy biskup powinien wziąć sobie te słowa do serca. Powinien wezwać proboszczów na dywanik i słowem – lub nawet kijem – nauczać o empatii. I naprawdę nie o religię tu chodzi. Nie o owiec i odchodzące ze stada pasterzy o ciasnych umysłach. Niech odchodzą na zdrowie. Ci pasterze wciąż jednak mają wpływ na społeczeństwo. Nie potrafią uczyć? Niech przynajmniej nie psują.

PIĘĆDZIESIĄTKA PRZEKROJU

27 **Odkrywamy projekty realizowane za Fundusze Europejskie**

KULTURA

36 **Czy polska fonografia potrzebuje wręczanej z wielką pompą nagrody?** Tak. Ale nie takiej jak Fryderyk – pisze Jarek Szubrycht
39 **Fundacja Galerii Foksal i Raster wreszcie mają konkurencję.** O rynku sztuki w Polsce Jacek Tomczuk
40 **Lektura:** Marcin Sendecki rozmawia z Marcinem Świetlickim nie tylko o wierszach

OTWÓRZ OCZY

44 Świat pokochał Ryana McGinleya i jego nieostre zdjęcia **nagich nastolatków tańczących na trawie.** Kuba Dąbrowski pisze dlaczego

RECENZJE

48 **Film:** Salwa daje 1 na 6 nowemu filmowi Kondratiuka...
49 **Książki:** ...Nyczek 6 na 6 biografii Nowosielskiego
50 **Muzyka:** Winczewski dziękuje Beastie Boys za płytę
51 **Gry:** Szewczyk docenia „Shoguna 2”
52 **Teatr:** Sieradzki rozczarowany i nie „Generałem”

ZAWSZE W PRZEKROJU

53, 54, **Rozmaitości**
55, 58 z krzyżówką, Kronikami popkultury Orbitowskiego, Lewomyślnie Kurkiewicza, ładnymi rzeczami Salwy i kuchnią Gesslera
56 **Dziennik** Jerzego Pilcha
57 **Stopklatka**
3, 26, 58 **Raczkowski**



ADRES REDAKCJI:
ul. Nowogrodzka 47 A,
00-695 Warszawa,
tel. 22 525 99 33,
faks 22 525 99 88, www.przekroj.pl,
e-mail: redakcja@przekroj.pl
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Artur Rumianek
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Donat Szyller
DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
Kasper Skirgajło-Krajewski
SEKRETARZ REDAKCJI:
Piotr Witek

SEKRETARIAT:
Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33
PRZEDE WSZYSTKIM: wydarzenia@przekroj.pl
Mariusz Nowik (szef),
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),
Agnieszka Fiedorowicz, Maciej Jankowicz,
Rafał Kostrzyński, Anna Szulc,
Małgorzata Świąchowicz,
Joanna Woźniczko-Czczott;
stałe współpracują: Agata Jankowska,
Marcelina Szumer

CYWILIZACJA OD ŚRODKA: nauka@przekroj.pl
Piotr Stanisławski (szef), Olaf Szewczyk;
stałe współpracują:
Irena Cieślinska, Urszula Dąbrowska,
Piotr Kossobudzki

KONIEC Z KULTURĄ: kultura@przekroj.pl
Jacek Wakar (szef), Marcin Sendecki (zastępca szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak,
Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk;
stałe współpracują: Kuba Dąbrowski,
Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz,
Mariusz Herma, Anna Jastrzębska,
Ola Salwa, Jacek Sieradzki,
Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski

ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk;
stałe współpracują: Kaliber 45

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Beata Białogłowska-Piwko, Beata Danowska,
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski
FOTODYDZIA: foto@przekroj.pl,
Marcin Kapica (szef)

KOREKTA:
Dorota Dul, Tatiana Hardej;
stałe współpracują: Kinga Gruca
PROJEKT GRAFICZNY:
Kasper Skirgajło-Krajewski
ARCHIWUM: Dominika Błok
OBROBKA ZDJEĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Andrzej Tchórzewski



Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,
ul. Nowogrodzka 47 A,
00-695 Warszawa,
tel. 22 525 99 55, faks 22 525 99 88

WYDAWCA:
Grzegorz Hajdarowicz
PREZES WYDAWNICTWA:
Jan Godłowski
DYREKTOR WYDAWNICTWA:
Sławomir Mokrzycki
DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:
Artur Rumianek

DYREKTOR PROGRAMOWA:
Katarzyna Janowska
PROMOCJA I MARKETING:
promocja@przekroj.pl,
Agata Strzemecka (szef), Jakub Maszkowski
BIURO REKLAMY:
reklama@przekroj.pl, Grzegorz Makowski,
p.o. dyrektor biura reklamy, 695 414 905
Małgorzata Skorupa 601 432 821,
Beata Drogowska 785 855 883, Agnieszka
Pawelec 601 550 348, Elżbieta Smoleń
501 227 979, Eliza Zyromska 785 855 888

DYREKTOR DYSTRYBUCJI:
Elżbieta Maciążek
DRUK: RR Donnelley

Artykułów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian
i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.



Jacek Majchrowski Prezydent Miasta Krakowa
oraz RMF Classic zapraszają na

4. Festiwal Muzyki Filmowej

Kraków 19-22 maja 2011

www.fmf.fm



organizatorzy:



współpraca:



sponsor:



partner medialny:



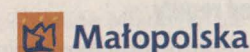
Rysunek na okładce:
Tomasz Karelus
Studiouilustracji.com

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, Alifor Bank SA 80 2490 0005 0000 4600 1542 1792 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty w 2011 r.: rocznej – 166,40 zł, półrocznej – 83,20 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69. Prenumerata przez Ruch SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – (+48) 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJE NA IPADA

Cena abonamentu na iPada i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl



Dzieci gorszego Boga

Zdrowe i z prawego łóża przyjmą Pierwszą Komunię Świętą. Niepełnosprawne lub nieślubne mogą usłyszeć, że mają zakaz zbliżania się do ołtarza, bo są zwierzętami. Proboszczów o takich poglądach nie brakuje. W polskim Kościele panuje głęboki kryzys intelektualny

AGATA JANKOWSKA, ANNA SZULC

Wojtek Przybyszewski, lat 11, przymiera albę. W oczach ma łzy szczęścia. To zupełnie inne łzy niż te, które rok temu płynęły mu po twarzy, gdy dowiedział się, że sakrament Pierwszej Komunii Świętej to dla niego za wysokie progi. A konkretnie dowiedzieli się o tym od księdza Tomasza Rysia, proboszcza parafii w Orchowie w Wielkopolsce, rodzice i dziadkowie chłopca.

Kara za Downa

Właściwie nie zdziwiło nas, że ksiądz wprost odmówił wnukowi pierwszego w życiu opłatka tylko dlatego, że ma zespół Downa – przyznaje babcia chłopca Ewa Przybyszewska. – Już wcześniej sugerował, że Wojtek jest dla niego parafianinem drugiego gatunku. Wypraszał go z mszy świętej – wspomina.

Chłopiec wychodził z kościoła, ale kary zupełnie nie rozumiał. Przecież na nabożeństwie zawsze zachowywał się grzecznie. Więcej – przeżywał je znacznie bardziej niż rówieśnicy. – Wcale się temu nie dziwię. Od lat

obserwuję, jak niepełnosprawne dzieci zbliżają się do Boga. Widzę ich mimikę, gesty, skupienie na twarzach i mam wrażenie, że czują więcej, przeżywają mocniej – opowiada nam Katarzyna Gawińska, katecheta w Zespole Szkół Specjalnych numer 103 w Poznaniu.

– Wojtuś jest religijny, z radością chodzi na msze, bo gorąco wierzy, że spotyka się z miłosiernym Bogiem. Bardziej miłosiernym niż ksiądz – dopowiada babcia chłopca.

Proboszcz Tomasz Ryś nie chciał z nami rozmawiać o niepełnosprawnym Wojtku. Gdy usłyszał, w jakiej sprawie dzwoniłyśmy, rzucił słuchawkę. Więcej wycucia mieli na szczęście biskupi z archidiecezji gnieźnieńskiej. Po ich interwencji spowodowanej skargą rodziców proboszcz z Orchowa, chcąc nie chcąc, zgodził się w tym roku przyjąć chłopca w poczet pierwszokomunijnych dzieci.

Wyjątek od reguły

Happy end historii niepełnosprawnego Wojtka to wyjątek od reguły. W Polsce najczęściej

proboszczowie nie muszą się martwić o to, co powiedzą biskupi. Bo dostojnicy nie nie mówią. – Dlatego zazwyczaj w odpowiedzi na pogardę i zupełny brak empatii ze strony księży wierni odchodzą z Kościoła – przyznaje profesor Zbigniew Mikołajko, religioznawca z Uniwersytetu Warszawskiego.

Odeszła na przykład mama ośmioletniego Tomka z Łodzi, który przez całe swoje krótkie życie chorował na białaczkę. Dlatego cieszyć się nie mógł w szkole. Rok temu usłyszał od księdza katechety, że nie może przystąpić do komunii, ponieważ opuścił za dużo lekcji religii. Rzeczywiście chłopiec nie zdał nauczyc się całej modlitwy „Wierzę w Boga”. Był zbyt zajęty uczeniem się trudnych słów, które mówili do niego kolejni lekarze.

Grzesz ze Zgorzelca podobnie jak Tomek marzył o komunii. Na marzeniach się skończyło, bo księdzu nie spodobał się tata chłopca. A właściwie jego paszport. Izraelski. Co zrobił ojciec? Obywatelstwa nie zmienił. Zmienił natomiast syna do polskiego katolicyzmu.



Dla wielu księży Pierwsza Komunia Święta stała się okazją do demonstrowania swojej władzy

Darkowi spod Ełku księża odmówili Pierwszej Komunii Świętej trzy razy. Bo jego rodzice żyją bez ślubu. Mają wprawdzie ten cywilny, ale to proboszczowi nie wystarczyło. Nie pomogło tłumaczenie, że to ich drugie małżeństwo, a poprzednie związki zawarli w kościele. Pierwszy raz Darek dowiedział się, że jest dzieckiem gorszego Boga, gdy ksiądz odwiedził rodzinę po kołędzie. Pomodlił się, a potem poprosił rodziców o akt małżeństwa kościelnego. Gdy go nie dostał, wstał i wyszedł. Efekt? Darek omija dziś kościół szerokim łukiem. Do księży żywi uczucia podobne do tych, jakimi darzy ich 40 procent wiernych diecezji. W 2010 roku Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego, badając nastroje wiernych z Mazur, wyliczył, że prawie połowa uważa, iż księża zwyczajnie ich lekceważą. A przecież nie dzieje się tak tylko w okolicach Ełku.

Gruba koperta

– Kategoriecznie odmawiam! – usłyszała ponad rok temu od księdza Edyta Segda,

mieszkanca Stopnicy w Świętokrzyskiem, matka siedmioletniego Krystiana. – Jak sobie pani to wyobraża? – spytał z oburzeniem proboszcz parafii Świętych Apostołów Piotra i Pawła, gdy spytała, czy autystyczny syn mógłby przystąpić do sakramentu komunii razem z innymi dziećmi. Kapłan odparł, że Krystian nie jest świadomy, czym w ogóle jest Kościół. – Skoro Bóg stworzył takie dzieci, to dlaczego Kościół je odrzuca? – pyta teraz nieco retorycznie rozżalona Edyta. Nie jest już praktykującą katoliczką. Nie chodzi na niedzielne msze. Tym bardziej że problem komunii to nie pierwszy wyraz niechęci duchownego do jej synka. Gdy Krystian się urodził, miała 18 lat. Nie miała ślubu z obecnym mężem. Ksiądz nie zgodził się na ochrzcenie dziecka. – Problem rozwiązał się, gdy daliśmy proboszczowi grubą kopertę z pieniędzmi – wspomina kobieta.

Profesor Zbigniew Mikołajko nie kryje oburzenia na kapłanów dyskryminujących niepełnosprawne dzieci. – Takie zachowanie jest

tym bardziej perfidne, że księża gorąco protestują przeciw aborcji, w tym również legalnej, wynikającej z faktu, że na świecie może pojawić się ciężko chore dziecko – uważa religioznawca. – Tymczasem gdy się pojawia, wrzucają je w jakąś czarną otchłań, jak nie przymierzając starożytni Spartanie, którzy spychali w przepaść ułomnych, niepełnowartościowych w ich mniemaniu ludzi.

Bez miłości (bliźniego)

Równie dosadnie rozlicza z postawy polskich duchownych profesor Stanisław Obirek, teolog i były jezuita. – Wynika ona wyłącznie z głupoty. Człowiek się z nią rodzi i trudno to zmienić. Empatii jednak można się nauczyć z Ewangelii. Przecież Pismo Święte mówi wprost o miłości bliźniego – przyznaje. Wspomina przy tym, że w czasach kapłańskich często udzielał sakramentów, których inni nie chcieli udzielić. Nie on jeden. Słynna anegdota o niezującym od 11 lat wybitnym katolickim intelektualistą i księdzu Józefie →

→ Tischnerze mówi o tym, jak do duszpasterza przyszła matka nowo narodzonego dziecka. Panna. Z przerażeniem zapytała, co jest – zwłaszcza w jej wypadku – potrzebne do ochrzczczenia dziecka.

- Dziecko – odpowiedział dobitnie ksiądz Tischner.

Tymczasem dla proboszcza z parafii Gardna Wielka na Pomorzu dziecko było problemem. W lokalnej prasie matka małej Andżeliki żaliła się, że kapłan porównał jej córkę do... zwierzęcia. I nie dopuścił dziewczynki do Pierwszej Komunii. Cierpiąca na zespół Downa Andżelika przyjęła sakrament w innej parafii, w której wciąż w dziecku nie widzi się zwierzęcia, lecz dar od Boga. - Przyznaję, byłem nieporadny, nie wiedziałem, co zrobić, bo do przyjęcia sakramentu wymagana jest choć minimalna świadomość. A ja nie potrafiłem stwierdzić, czy dziewczynka była świadoma – tłumaczy się w rozmowie z „Przekrojem” ksiądz Mieczysław Radochoński. Kiedy jednak pytamy go, dlaczego nazwał Andżelikę zwierzęciem, odpowiada nam długie milczenie.

Zwierzęchnicy proboszcza z Gardny Wielkiej nie zareagowali na jego postępowanie. Milczeli mimo skargi od parafian. Bo proboszcz nie wyrzucił z kościoła wyłącznie Andżeliki. Tuż przed spodziewanym przez rodzinę nabożeństwem pogrzebowym pozbył się ze świątyni trumny ze zmarłym parafianinem. Dlaczego? Bo uznał go za bezbożnika. - Nie można odprawiać liturgii na pogrzebie niewierzącego i niepraktykującego – ucina proboszcz Radochoński. Na nic zdały się tłumaczenia bliskich zmarłego, że mężczyzna był zdeklarowanym katolikiem. Ksiądz nie dał się przekonać.

Łaska w sutannie

Dziś z proboszczem najwięcej problemów mają parafianie nie tyle bezbożni, ile ubodzy. Kapłan bowiem wpadł na pomysł, by przed pogrzebem pobierać opłatę nie tylko za nabożeństwo, ale także 10 procent od pomnika wystawionego na grobie. Danina dla księdza to średnio 500 złotych.

- Płacimy wszyscy, bo trudno sobie wyobrazić, że pochowamy bliskich na jakimś nieznanym nam, odległym cmentarzu – żali się parafianka z Gardny Wielkiej, prosząc o niepodawanie nazwiska.

Anonimowa chce również pozostać 30-letnia córka samobójcy spod Bielska-Białej. Nie dała swojemu księdzu koperty. Wręczyła mu gotówkę do ręki. - Nie chciałam ubierać łąpówki, tylko obnażyć jego obłudę i bezczelność – wyjaśnia kobieta. Kapłan zatem dostał pieniądze bez koperty.

Dwa tysiące za pogrzeb i trzy za tajemnicę – tyle wyciżył wtedy ksiądz. Dla kobiety ważne było, aby babcia, czyli matka samobójcy, nie dowiedziała się o okolicznościach śmierci syna. Do dziś staruszka jest pewna, że zginął w wypadku samochodowym w Londynie, gdzie mieszkał. - Ksiądz szantażował mnie, że nie pochowa samobójcy – dodaje córka tragicznie zmarłego. - Gdy przyszedł prosić po raz trzeci, rzucił tylko przez ramię żadaną kwotę i kazał prosić Boga o łaskę dla mnie – oburza się dziewczyna. - Ojciec, jak dodał, i tak na zbawienie nie ma już szansy.

Atrybuty panów feudalnych

O pogrzeb błagać musiała także Barbara Gawska, matka heroinisty. Trzy lata temu jej 23-letni syn Paweł przedawkował. Zmarł na klatce schodowej w Wigilię Bożego Narodzenia. Ksiądz z podwarszawskiej parafii początkowo odmówił pochówku, jednak po prośbach rodziny i przyjaciół Pawła zmiękł. Pogrzeb odprawił, tyle że podczas mszy, w trakcie kazania zadał żałobnikom pytanie z ambony: „Czy wasze sumienie pozwala wam godnie żegnać narkomana? Czy wasza wiara jest tak płytka, że pozwala wie-

Powiedzmy to jasno: ignorancja i brak empatii wśród księży to norma w polskim Kościele – uważa profesor Stanisław Obirek, teolog i były jezuita

rzyć w zbawienie zwierzęcia dogorywającego w konwulsjach na posadzce?”.

- Mamy do czynienia z oburzającym, z ducha archaicznym przejawem wykorzystywania władzy. Księżom wydaje się, że mają atrybuty na wzór feudalnych panów i mogą ignorować potrzeby i problemy swoich „poddanych” – irytuje się profesor Józef Baniak, socjolog z Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, który od lat prowadzi badania nad stanem polskiego duchowieństwa. - Co gorsza, taką postawę wpaja się im już na etapie seminarium, gdzie kształtuje się nie prawdziwych duszpasterzy, lecz kolejne rzesze oderwanych od rzeczywistości i aroganckich kapłanów. Często niedouczonych – podkreśla.

Może gdyby proboszczowie z Gardny Wielkiej i Orchowa wiedzieli, że Kościół oficjalnie

nie odrzuca ani samobójców, ani dzieci z tak zwanego nieprawego łoża, zachowywałyby się inaczej? Może gdyby wiedzieli, że istnieje dokument Benedykta XVI, adhortacja „Sacramentum Caritatis”, zgodziliby się z zawartą w niej argumentacją papieża, że do komunii mają prawo przystąpić nawet ludzie głęboko upośledzeni? - Mogą też przyjąć komunię świętą w wierze swoich rodziców. To oni i wspólnota Kościoła biorą wówczas odpowiedzialność za udzielanie im sakramentów – wyjaśnia Katarzyna Gawińska, katecheta ze szkoły specjalnej z Poznania.

- Tym bardziej że sakrament jest dla ludzi wierzących pokarmem i lekarstwem. Dla ich ducha i ciała – dodaje ksiądz doktor habilitowany, teolog Andrzej Draguła z diecezji zielonogórsko-gorzowskiej.

Synowie ziemi

Profesor Józef Baniak uważa jednak, że brak wiedzy wśród kapłanów na temat religii, która głoszą, to niejedyny problem.

- Przykro to mówić, ale na stan polskiego duszpasterstwa potężny wpływ ma poziom intelektualny przeciętnego księdza. Często niższy niż iloraz inteligencji przeciętnego wiernego – ocenia socjolog. Podobnego zdania jest profesor Zbigniew Mikołajko. - W większości przypadków mamy do czynienia z synami chłopskimi. Niezależnie od tego, czy mówimy o wikarym, czy o biskupie. I przy całym szacunku dla ludzi ziemi reprezentują oni bardzo konserwatywną i prostą, by nie powiedzieć czasem wręcz prostacką, mentalność. Sposób myślenia pozbawiony wartości, jakie niesie ze sobą chrześcijański humanizm – dodaje religioznawca. Na czym ten chrześcijański

humanizm powinien polegać z punktu widzenia na przykład Darka spod Ełku czy Grzesia ze Zgorzelca? - Na tym, że dziecko traktowane jest jako niezależny, wartościowy byt, którego nie można obarczać taką czy inną drogą życia rodziców. A jeśli pragnie ono kontaktu z Bogiem, ksiądz powinien zrobić wszystko, by mu w tym nie przeszkadzać – wyjaśnia profesor Mikołajko.

- W dodatku przecież nie dotyczy to wyłącznie dzieci – obrusza się profesor Baniak. - Dorosli też mają prawo do tego, by mimo błędów, jakie popełniają, mogli spotkać się z przyjaznym i ewangelicznym odzewem instytucji, której nie chcą odrzucać. A która z zupełnie niezrozumiałych powodów ich odtrąca.

- Powiedzmy to jasno: ignorancja i brak empatii wśród księży to norma w polskim Kościele – podsumowuje profesor Obirek. - Głośno

chwali się wybitne jednostki postępowych kapłanów, wstydliwie przemilczając godną postawą wielu innych.

Nienawiść i kompleks

Mówił o tym już przed laty ksiądz profesor Tischner. Na początku maja w „Tygodniku Powszechnym” ukazał się niepublikowany dotąd, przeprowadzony w 1993 roku wywiad Stefana Szarego z Tischnerem, w którym ksiądz, wyciszając największe wady naszego duchowieństwa, zwraca uwagę przede wszystkim na okazywaną przez wielu kapłanów pogardę wiernym, na „maskowaną nienawiść, jakiś kompleks, który nie pozwoli mu [księdzu – przyp. aut.] słuchać innych, normalnie się na nich otworzyć”.

Tak jak ksiądz nie otworzył się na mamę niepełnosprawnego Kajtka, która pod adresem www.kajtusiowy.blog.onet.pl prowadzi w Internecie pamiętnik. Jeden z ostatnich wpisów zatytułowała znamienne „Czy księży są z innej planety?”.

Bo mama Kajtka tak widzi księży: „Jak przychodzi na kołędzie i widzą Kajtusia, to albo są sztuczni, udają, że Go nie widzą, wywracając oczy na sufit, albo są jacyś zdezorientowani.

Nie ma naturalności, wycucia, przyjaznego nastawienia, przyjęcia z otwartymi ramionami, czego spodziewałabym się najbardziej. Co roku utwierdzam się w tym, że księży są jak nie z tej planety, tak jakby na swej drodze chorych ludzi nie spotykali (...) Ja wiem, że każdy człowiek inaczej przeżywa, inaczej się zachowuje, ale kurczę, na kogo, jak nie na nich, można liczyć? Wydawało mi się, że są bliżej Boga”.

Czy są? Odpowiedź na to pytanie nasuwa się sama. Tym bardziej że często o tym, czy parafianin dostąpi łaski sakramentu, decyduje zasobność jego portfela. Albo... fart. Przekonał się o tym Mariusz Wolski, student z Łomży, który zdobył zaświadczenie o kursie przedmałżeńskim dzięki temu, że ojciec policjant złapał na radar księdza pirata drogowego. Wolski senior zawarł z duchownym układ: odstąpi od mandatu, a kapłan w zamian wyda papier, że syn ukończył nauki przedślubne. - Księdzu nie zadrzała ręka, gdy podpisywał mi fałszywy dokument – uśmiecha się dziś Mariusz.

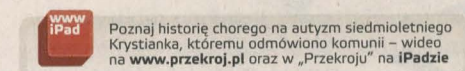
Brzydko i głupio

- Mam szczerą nadzieję, że Kościół jako instytucja z moim proboszczem się nie utożsamia. Ale nadzieja to przecież matka głupich – mówi

smutno Katarzyna Werner-Bojko z Krakowa, mama ośmioletniej Zosi. Ksiądz odmówił jej córce Pierwszej Komunii Świętej, bo uznał, że dziecko na wózku inwalidzkim wśród zdrowych rówieśników – tu cytat – „wyglądałoby brzydko i głupio”.

Sąsiedzi z bloku podpowiedzieli mamie Zosi, że przystąpienie do sakramentu zależy od tego, ile banknotów położy na biurku w parafialnej kancelarii. Ale, o dziwo, Katarzyna uważa, że wyglądałoby to i brzydko, i głupio. Z drugiej strony córka jest dla niej ważniejsza od proboszcza. Więc pewnie zrobi wszystko, by udobruchać księdza dobrodzieja. Nawet za cenę utraty wiary w to, że polski Kościół jest jeszcze cokolwiek wart. Że przynajmniej tym razem duchowny nie przeszkodzi jej córce w spotkaniu z Bogiem, w którego polskie dzieci, zdrowe i chore, ślubne i nieslubne – czy nam się to podoba, czy nie – po prostu wierzą.

Imiona i nazwiska niektórych bohaterów zostały zmienione.



REKLAMA

KRAINA PIĘCIU ZMYŚLÓW

Pięć różnorodnych historii, stylów i tradycji.

Mieszanka kultur i religii niespotykana nigdzie indziej.

Kraina, która karmi każdy z naszych zmysłów i oferuje niezapomniane doznania.

Ełk, Gołdap, Olecko, Suwałki i Augustów zapraszają na: wakacje, weekendy, rodzinne wyjazdy czy firmowe spotkania

www.elk.pl www.turystyka.frfg.pl www.olecko.pl www.cmikt.pl www.augustow.eu

Fundusze Europejskie - dla rozwoju Polski Wschodniej
Projekt współfinansowany z budżetu państwa oraz ze środków Unii Europejskiej



Ścisły zarząd korporacji – w środku Osama ben Laden, a na lewo od niego Ajman al-Zawahiri, „wiceemir” i prawdopodobnie nowy szef Al-Kaidy

Śmierć prezesa

Gdyby poszedł w biznes, Osama ben Laden mógłby zostać doskonałym menedżerem. Stworzył korporację, która na 10 lat zmonopolizowała rynek terroru

LUKASZ WÓJCIK

Spece od handlu wiedzą, że są towary, których nie sposób sprzedać. Doskonale rozchodzą się dziś radość, szczęście, seks i miłość. Znacznie gorzej handluje się odpowiedzialnością, umiarkowaniem i prasą drukowaną. Na końcu listy

towarów – wydawać by się mogło – niesprzedawalnych są śmierć i męczeństwo. Gdyby ograniczyć się wyłącznie do względów biznesowych, można by powiedzieć, że Amerykanie zabili właśnie geniusza marketingu, który handel śmiercią doprowadził do perfekcji, a przy okazji stworzył międzynarodową korporację, której struktura opiera się na najlepszych wzorcach biznesowych. Jak Al-Kaida poradzi sobie bez prezesa ben Ladena?

Opisywanie najbardziej zbrodniczej organizacji terrorystycznej w historii za pomocą narzędzi biznesowego audytu może zakrawać na trywializowanie zła. Ale według twórcy tego pomysłu Petera Bergena, autora słynnej książki „Holy War, Inc.” („Przedsiębiorstwo świętej wojny”), cel uświęca środki. Rozłożenie Al-Kaidy na czynniki pierwsze (koszty działalności, kultura korporacyjna, rekrutacja) pozwala zrozumieć, jak od 23 lat udaje jej się przetrwać, mimo że cały zachodni świat wciąż ponawia próby wrogiego przejęcia jej klientów i wyeliminowania z rynku jej kadry

zarządzającej. Po co nam taka wiedza? Żeby wspomniane próby w końcu się powiodły.

CEL I STRATEGIA FIRMY

Celem Al-Kaidy, tak jak każdego biznesu, jest monopol. Ben Laden mówił o tym wprost już w połowie lat 90. W słynnym przemówieniu z 1998 roku, po tym jak zachęcił wszystkich muzułmanów do mordowania Amerykanów i ich sojuszników w każdym miejscu na świecie, mówił o „kalifacie rozciągającym się na wszystkich ziemiach islamu”, czyli od Andaluzji poczynając, na Kaszmirze kończąc.

To terytorium, którym docelowo zainteresowana jest korporacja. Monopol ma natomiast zapewnić teokracja, czyli religijnie uzasadniona władza polityczna dzierzona przez niezliczonych. Udało się to na mniejszą skalę w Iranie, gdzie ajatollahowie dzięki osobliwej interpretacji islamu roszczą sobie prawo do decydowania za obywateli o wszystkich aspektach życia.

Ben Laden chciał powtórzyć ten model i stworzył benladenizm. – To taka korporacja

na filozofia oparta na islamie, ale jednocześnie lekceważąca większość jego fundamentów. tłumaczy Shadi Hamid, ekspert od Al-Kaidy w amerykańskiej fundacji Brookings. Poza jednym – dżihadem, który również interpretowany jest zgodnie z celami korporacji: każdy jej członek jest zobowiązany nie ustawać w wysiłkach na rzecz zapewnienia Al-Kaidzie monopolu, czyli w uproszczeniu – wybicia lub przepędzenia konkurencji z ziem islamu. Sprawdzało się to w Afganistanie okupowanym przez Armię Czerwoną. Rosjan nie udało się co prawda wymordować, ale dzięki taktyce nieustannego nękania okupanta ben Laden i mużahedini podnieśli koszty konkurencji do poziomu, którego zarząd na Kremlu nie był już w stanie tolerować. Potem ben Laden do końca swoich dni twierdził, że to on, a nie Lech Wałęsa, obalił Związek Radziecki.

Identyczną strategię Al-Kaida obrała wobec swojego arcywroga. – Amerykanów trzeba było sprowokować do bezwzględnej walki o rynek, wywindować koszty i doprowadzić do bankructwa – mówi Rami Khouri, palestyński dziennikarz. Prowokacja się udała – po zamachach z 11 września USA na całą dekadę wsiąkły w nieprzyjazny im rynek, najpierw afgański, a potem iracki. Windowanie kosztów również szło doskonale – w samym Iraku w latach 2005–2008 ginęło co roku ponad tysiąc amerykańskich żołnierzy. Prezes ben Laden nie przewidział jednak, że konkurencja może się bez końca zapożyczać.

TOWAR

Co oferuje Al-Kaida swoim klientom? Zbawienie – tak jak wszystkie największe korporacje świata, choć one akurat robią to w bardziej zawołowany sposób. Można je osiągnąć przez śmierć – własną lub cudzą. Al-Kaida nie pierwsza wyszła z taką ofertą, ale pierwsza na taką skalę zajęła się handlem detalicznym.

Do firmy może wstąpić każdy. Musi tylko zaakceptować oficjalną korporacyjną filozofię. Z jej dostępnością nie ma problemu. Od ponad dwóch dekad organizacja prowadzi skuteczną kampanię informacyjną. Handlowcy Al-Kaidy do perfekcji opanowali promowanie niszowych, radykalnych haseł jako odwiecznych zasad islamu. Proponują działania, a nie gadanie. Na początku była to propaganda twarzą w twarz. Potem zaczęły się pojawiać taśmy z nagraniem wykładami, broszury i książki. Aż w końcu w 1995 roku nadeszła era Internetu. Do 2001 roku najwięksi radykałowie Al-Kaidy pisali tam, co chcieli. To, co dotychczas było lokalną wariacją, stało się ideologią o globalnym zasięgu.

Treść kierowana do kandydatów, którzy chcieli przystąpić do korporacji, stała się też bardziej uniwersalna, opierając się na zasadzie: przyłącz się do nas, bracie, do mężczyzny, którzy porzucili domy i rodziny, aby żyć jak pustynni księżęta. Bądź częścią czegoś wielkiego. Razem powrócimy do pierwotnego, czystego islamu z czasów Proroka Mahometa. Do tego potrzebne są ci tylko bomby, zapalniki, łatwe cele i pragnienie śmierci. To korporacyjna nowomowa w czystej postaci.

Wraz z rozwojem firma zaczęła też zwracać uwagę na zróżnicowanie potencjalnych klientów. Dziś na stronach powiązanych z Al-Kaidą

Co oferuje Al-Kaida swoim klientom? Zbawienie – tak jak wszystkie największe korporacje świata, choć one akurat robią to w bardziej zawołowany sposób

można wybrać nie tylko wersję językową korporacyjnego podręcznika, ale nawet warianty skierowane do poszczególnych zawodów. W tej dziedzinie Al-Kaida prześcignęła globalne marki, które kierując się poprawnością polityczną, nie drukują różnych prospektów i reklamówek dla klientów z podstawowym i wyższym wykształceniem. Być może wkrótce okaże się, że w tej dziedzinie prekursorem stała się organizacja terrorystyczna.

STRUKTURA FIRMY

Al-Kaida powstała w 1988 roku jako przedsiębiorstwo wyspecjalizowane i scentralizowane. Cel był jasny – pozbycie się Armii Czerwonej z Afganistanu. Kierownictwo nie podlegało dyskusji, bo każdy członek musiał składać *bayat* – przysięgę na lojalność wobec ben Ladena. Jego najbliżsi współpracownicy robili to do samej śmierci prezesa. Skład osobowy tej najwyższej kadry zarządzającej skurczył się w ostatniej dekadzie mniej więcej o połowę. W szczytowym momencie, gdy ben Laden po zamachach z 11 września 2001 roku miał siedzibę w Afganistanie, zarząd firmy liczył około 10 członków: „dyrektorów” do spraw wojskowych, propagandowych, administracyjnych. Dziś dyrektorów jest nie więcej niż pięciu. Reszta wypadła z biznesu pod ostrzałem amerykańskich marines.

Korporacja rozrosła się jednak terytorialnie. Dziś ma swoje oddziały między innymi

w Algierii, Jemenie, Iraku i Pakistanie. Struktura firmy się skomplikowała. Jeden z amerykańskich agentów, który przesłuchiwał członków korporacji, opisał ją za pomocą teorii spaghetti – wyobraźcie sobie, że o kuchenną podłogę rozbił się wam talerz pełen spaghetti bolognese z mięsnymi kulkami. Tak mniej więcej wygląda dziś struktura Al-Kaidy.

Aby jednak przekonać swoich obywateli o sensowności walki z terrorem, Waszyngton potrzebował dokładniejszego opisu przeciwnika. Stąd kariera teorii o fastfoodowej strukturze firmy ben Ladena. Zaproponował ją w 2004 roku francuski znawca islamu Olivier Roy. Chodzi o model franczyzy – firma matka udostępnia mniejszym firmom lub przedsiębiorcom logo, technologię, ekspertów – właściwie cały pomysł na biznes. Druga strona natomiast zgadza się utrzymywać odpowiednie standardy oferowanych towarów i usług oraz koordynować długofalową współpracę z firmą matką.

Tak działają wszystkie sieci fastfoodowe na świecie. Tak też miała działać Al-Kaida. Wszystkim chętnym miała udostępniać swoje logo (dziś istnieje Al-Kaida Islamskiego Maghrebu, Al-Kaida Półwyspu Arabskiego), technologię budowy bomb, indoktrynacji oraz rekrutacji. Wypożyczani eksperci mieli pomagać w szkoleniu, kontrolować jakość i w końcu być pośrednikami (nadzorcami) w kontaktach z centralą.

Dwa lata temu na słabość tego fastfoodowego porównania zwrócił uwagę Joshua McLaughlin, dziennikarz i znany bloger zajmujący się Al-Kaidą. Stwierdził, że przecież nie może być mowy o franczyzie, jeśli poszczególne firmy córki działały już wcześniej na własną rękę i wciąż utrzymują własne menu uzależnione od lokalnych podniebień. McLaughlin porównał Al-Kaidę do konglomeratu – korporacji, która skupuje mniejsze firmy, aby wejść na inne rynki i w inne branże. W takim przypadku firma matka wprowadza do zarządów kupionych przedsiębiorstw swoich ludzi tylko w roli łączników. Firmy te pozostają jednak samodzielne, a zasięgnięcie pomocy z góry jest dobrowolne.

Wypisz, wymaluj Al-Kaida, co świetnie widać w Algierii. Tam już od 1989 roku działał potężny Islamski Front Ocalenia, który przez następną dekadę był stroną w wojnie domowej. W 2002 roku kolejna emanacja tej organizacji przyjęła nazwę Al-Kaida Islamskiego Maghrebu i formalnie jest regionalnym oddziałem globalnej Al-Kaidy. Ale choć nie brakuje współpracy z dyrekcją główną, Al-Kaida z Algierii luźno traktuje globalne cele →

→ konglomeratu (czyli walkę z USA) i skupia się na lokalnych problemach, czyli głównie na walce z rządem w Algierze.

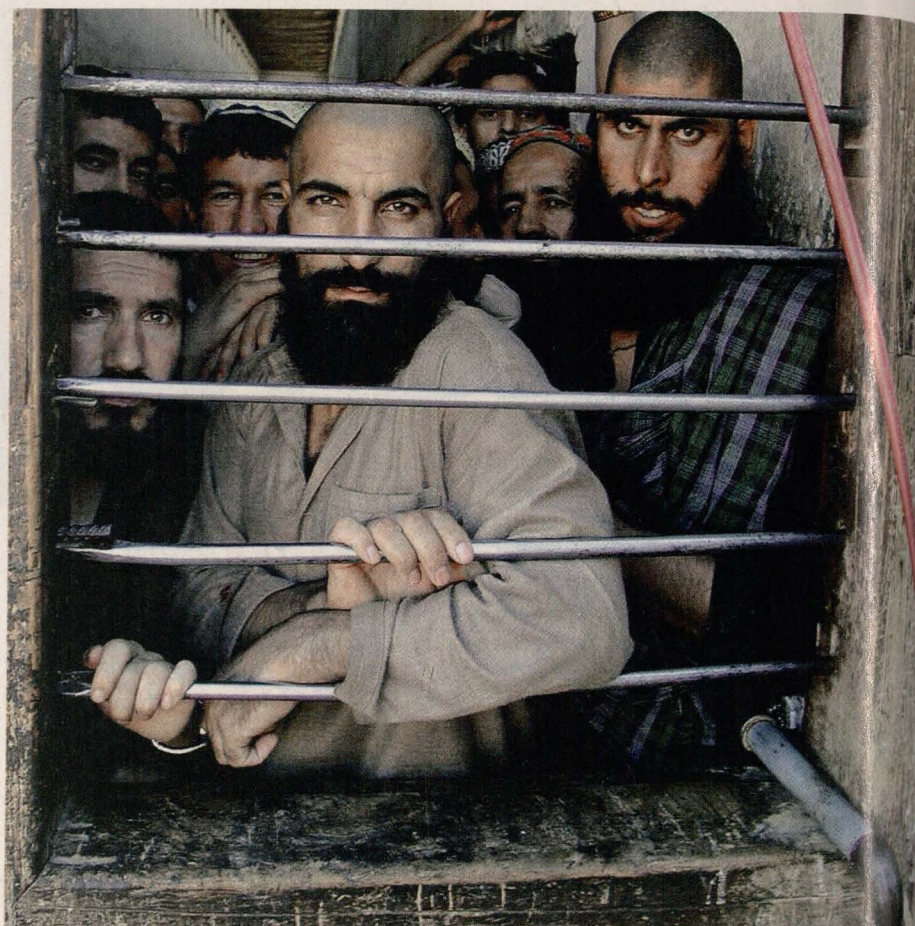
Jeśli porównywać działalność Al-Kaidy do modelu franczyzy, śmierć Osamy ben Ladena oznaczałaby spore problemy dla korporacji. W tym modelu oddziały nie istnieją bez centrali, bo są tylko powieleniem modelu, bez własnego pomysłu na biznes. Ale jeśli Al-Kaida to konglomerat, to nawet bez silnej centrali ośrodki w Maghrebie czy na Półwyspie Arabskim sobie poradzą. Mają przecież własne cele, metody i finansowanie.

Ale legenda o prezesie założycielu, który zrezygnował z rodzinnych bogactw i oddał życie za korporację, może się tylko przysłużyć. Globalne firmy w takich przypadkach otwierają fundacje imienia prezesa założyciela, dołączają jego wizerunek do logo czy po prostu sprzedają koszulki z jego zdjęciem.

FINANSE

Terroryzm, choć jest najskuteczniejszą metodą walki o rynek, też kosztuje. Według korporacyjnego magazynu Al-Kaidy „Inspire” (w języku angielskim, do ściągnięcia z sieci w wersji PDF) przygotowanie i dostarczenie na pokład samolotu bomby ukrytej w drukarce (w październiku 2010 roku, ostatecznie nie wybuchła) kosztowało 4,2 tysiąca dolarów. A koszty dla konkurencji? Magazyn szacuje, że Amerykanie będą musieli wydać kolejne miliony na nowe zabezpieczenia na lotniskach, które będą w stanie wykryć takie wybuchowe drukarki. Z kolei amerykańska komisja badająca okoliczności zamachów z 11 września 2001 roku oceniła, że przygotowanie tych zamachów kosztowało Al-Kaidę około 500 tysięcy dolarów. Kongres USA natomiast szacuje, że na wojnę z terrorem w latach 2001–2010 Waszyngton wydał już ponad 1,15 biliona dolarów. Redaktorzy „Inspire” natychmiast policzyli: wydatek jednego dolara po stronie Al-Kaidy pociągnął za sobą 2,3 miliona dolarów kosztów po stronie Waszyngtonu.

Ale koszty Al-Kaidy to nie tylko zamachy. – Przez całą dekadę ben Laden musiał utrzymywać, szkolić i uzbrajać kilka tysięcy bojowników – mówi Shadi Hamid, ekspert od terroryzmu. – Płacić trzeba było też afgańskim plemionom, które udzieliły im schronienia. W końcu spora część budżetu jest wciąż przeznaczana na propagandę czy jak kto woli – na dział public relations. To nie tylko setki stron internetowych, publikacji, magazyn „Inspire”, ale też koncert medialny As-Sahab odpowiedzialny za produkcję filmików, które później trafiają do telewizji Al-Dżazira.



Członkowie Al-Kaidy schwytani w Afganistanie w 2003 roku. Dziś na wolności została ich setka

Tu ben Ladena może najbardziej zabraknąć, bo był mistrzem fundrisingu, czyli zbierania pieniędzy. Przed zamachami z 11 września pieniądze same pchały się do Al-Kaidy. Ben Laden, który został wydziedziczony przez ojca, saudyjskiego miliardera, miał doskonałe kontakty w Zatoce Perskiej, a po zamachach Al-Kaidy w Kenii i Tanzanii (w których w sumie naliczono ponad 300 ofiar) jego nazwisko gwarantowało tamtejszym bogaczom, że ich pieniądze pójdą na chwałę Boga. Po 2001 roku to źródło dochodów wyschło, bo Amerykanie zaczęli polować na sponсорów Al-Kaidy, a ponieważ ci także robili interesy z Waszyngtonem, nie chcieli się narażać.

KONKURENCJA

Ben Laden przerzucił się wtedy na „drobniacę”. Za pomocą Internetu docierał z prośbą o wsparcie do milionów drobnych ciulaczy i choć każdy z nich wpłacał groszowe kwoty, zebrała się z tego pokaźna sumka. Jednocześnie masowy fundrising gwarantował anonimowość darczyńcom. Ten pomysł na finansowanie wykorzystał później Barack Obama podczas kampanii prezydenckiej

w 2008 roku. Ale po śmierci prezesa korporacja nie ma już tak dobrych menedżerów.

Jak wiadomo, nieszczęścia chodzą parami. Nie dość, że Al-Kaida straciła biznesowego i lifestyle'owego guru, to jeszcze nagle wykielkowała jej potężna konkurencja o również monopolistycznych zapędach. Nie obiecuje klientom szczęścia gdzieś w zaświatach, tylko tu, natychmiast. Ten doskonały chwyt marketingowy nazywa się demokracja. Sprawiała ona, że na ulice Tunisu, Kairu, Benghazi i Damaszku wyszły setki tysięcy ludzi. To dużo prostsze niż oferowana przez Al-Kaidę asceza i męczeńska śmierć. Po obaleniu reżimów Mubarak w Egipcie i Ben Alego w Tunezji Al-Kaida jest w sytuacji Radia Maryja, któremu rozwiązano „Gazetę Wyborczą” – straciła wrogów, którzy uzasadniali jej istnienie.

Demokratyczne rewolucje na Bliskim Wschodzie odbierają Al-Kaidzie klientów szybciej niż 90 tysięcy amerykańskich żołnierzy w Afganistanie. Wygląda więc na to, że Al-Kaida, jeszcze do niedawna korporacja o globalnych aspiracjach, bez ben Ladena będzie musiała się zadowolić niszowym biznesem dla religijnych wyczynowców.

KSIĄŻE KANCLERZ, ZNUŻONY SMAKIEM WSZELAKICH PIW, WEZWAŁ PIWOWARA JAKUBA. ZAGROZIŁ, ŻE ŁĘB MU URZNIĘ, JEŚLI PIWA NIEZWYKŁEGO NIE OTRZYMA.



JAKUB BEZOWOCNIE GŁOWIŁ SIĘ NAD NOWĄ RECEPTURĄ I ŚNIŁ O ADELI, KTÓRĄ CHCIAŁ POŚLUBIĆ...

...WOLAŁ JEDNAK OŚWIADCZYĆ SIĘ Z GŁOWĄ.

CHĄC SKRÓCIĆ SWE MĘKI, PIWOWAR UDĄŁ SIĘ DO POBLISKIEGO SŁOKA, ABY ZE SOBĄ SKOŃCZYĆ.

WOK JEDNAK WYSTĄPIŁ OD POZARCIA JAKUBA I ZAPIĘKNĄŁ GO DO BROWARU. TAM NAGLE SŁOK BUCHNĄŁ OGNIEM, PRAŻĄC ZIARNA SŁODU DO WARZENIA PIWA. WRZUCIŁ JE DO KADZI I PRZYKAZAŁ JAKUBOWI CZEKAĆ NA REZULTAT.

Bursztynowa barwa cieszy oko

Mózg wyobraża sobie, nie wiadomo co

Bogaty smak łachocze ozór

Łęb ocalony

DZIEŁO PRZEWYŻSZYŁO NAJMIĘLSZE OCZEKIWANIA PIWOWARA

BOGATY SMAK DZIĘKI DODATKOWI PRAŻONEMU ZIARNU SŁODU



Urodzeni szantażyści

Cegły, śruby, styliska kilofów, koktajle Mołotowa - tym górnicy rzucają w policjantów, żeby nastraszyć polityków. Teraz mogą rzucić wszystkie siły, bo zbliżają się wybory. A górnicy to niejedyna grupa, która potrafi walczyć o przywileje. Przywileje, za które wszyscy zapłacimy

MAŁGORZATA ŚWIĘCHOWICZ,
AGATA JANKOWSKA

Robi się ciepło, łatwiej organizować demonstracje, a wkrótce ruszą kampanie polityczne przed jesiennymi wyborami. To najlepszy czas dla górników, rolników, pielęgniarek i nauczycieli. Kiedy, jeśli nie teraz, cisnąć w sprawie podwyżek czy wprowadzenia korzystnych zmian w przepisach? Pielęgniarki już w marcu udowodniły, że wystarczy ich 10, aby zająć Sejm na wiele dni. Nauczyciele w kwietniu wyszli na ulice Warszawy z transparentami, trąbami, kukłą minister edukacji Katarzyny Hall i postulatami: „Wysłać Hall w siną dal”, „Hall na pal”. W ubiegłym tygodniu kilkuset związkowców zdemolowało siedzibę KGHM, raniąc sześciu ochroniarzy. - Z taką falą agresji nigdy nie mieliśmy do czynienia - niepokoi się rzecznik spółki.



Związkowcy przyzwyczaili się, że z rządem najłatwiej rozmawia się za pomocą kija

A to dopiero początek. Jeszcze w tym miesiącu Solidarność chce ściągnąć związkowców przed urzędy wojewódzkie, a na przełomie czerwca i lipca na wielką demonstrację w stolicy. Czy czekają nas uliczne bitwy górników i hutników z policją? Ile tym razem zapłacimy za uległość polityków, którzy boją się związkowych zadym? To pytania, które warto sobie zadać, dopóki jeszcze nie jest zbyt gorąco.

Długa lista przywilejów

Górnicy, rolnicy, pielęgniarki i nauczyciele, czyli grupy specjalnej troski wszystkich rządów, wyćwiczyły się w tupaniu, apelowaniu, blokowaniu i okupowaniu. Gdy idą walczyć o swoje, koszty nie grają roli, bo to nie oni, ale my wszyscy płacimy za ich protesty i za to, co dzięki nim wywal-

czą. Szczególnie bojowo nastawieni i rozrzutni są górnicy. Kiedy w lutym domagali się wypłaty 14. pensji, rzucali petardami i palili opony przed Katowickim Holdingiem Węglowym. W marcu, gdy zebrano się aż pięć tysięcy niezadowolonych z zarobków i planowanej prywatyzacji Jastrzębskiej Spółki Węglowej, w ruch poszły kamienie, śruby i kije. Straty (zbite szyby, zniszczone drzwi i elewacja) wyceniono wówczas na 65 tysięcy złotych. A w kwietniu w Jastrzębskiej Spółce Węglowej górnicze niezadowolenie kosztowało jeszcze więcej. Wystarczyła doba strajku, żeby straty urosły do 30 milionów złotych. Można się pocieszać, że dzisiejsze protesty są dość pokojowe - w 2003 roku, gdy górnicy demonstrowali przeciw likwidacji czterech kopalń, polala się krew.

Nie pomagały obietnice rządu, że będą mieli zagwarantowaną pracę w innych zakładach albo dostaną wysokie odprawy. Wściekli związkowcy ruszyli na Warszawę. Zamieszki ogarnęły centrum miasta przed Ministerstwem Gospodarki. Górnicy nie tylko tłukli szyby, lecz także atakowali policjantów. Bronią było wszystko, co wpadło w ręce: bruk, cegły, styliska kilofów, podpalone gumowce wypełnione benzyną.

Taki koktajl Mołotowa ranił wówczas policjanta ochraniającego budynek resortu. Koledzy z trudem ugasili płonącego funkcjonariusza. Rannych zostało kilkadziesiąt osób, zniszczone były chodniki i witryny sklepów.

z policją przed Sejmem. Wywalczyli sobie w ten sposób zachowanie wcześniejszych emerytur. Mogą na nie przejść po 25 latach pracy, przy czym rok pod ziemią liczy się im jak 1,5-1,8 roku na powierzchni. W efekcie mamy sto tysięcy górników i już dwa razy tyle górniczych emerytów. Co roku do ich świadczeń państwo dopłaca 4,5 miliarda złotych.

Premier Donald Tusk w marcu napomknął o konieczności zrzucenia przepisów emerytalnych, ale na zapowiedziach się skończyło. Musi zdawać sobie sprawę, że jeśli zamachnie się na górnicze emerytury, górnicy zamachną się na jego rząd. Są gotowi walczyć o swoje z każdym. Kiedy w marcu szli katowickimi ulicami, krzykali: „PiS, Platforma, jutro wojna”.

Najbardziej gorące nastroje są w Jastrzębskiej Spółce Węglowej. Tu walczy się teraz o 10-procentowe podwyżki i zachowanie dotychczasowych przywilejów po prywatyzacji spółki, która latem ma wejść na giełdę. Ministerstwo Skarbu obiecało górnikom akcje. Idzie nawet o 30 tysięcy złotych na głowę. Związkowcy domagają się jednak nie tylko pieniędzy, ale też między innymi 10-letnich gwarancji zatrudnienia. Żądają także, by środki z prywatyzacji zostały w spółce, a nie w całości trafiły do państwowej kasy. Przy czym najlepiej, żeby państwo - już po prywatyzacji zakładu - wciąż odpowiadało za jego los. Tylko wtedy w obronie przywilejów nadal będzie można stawiać polityków pod ścianą.

W ubiegłym tygodniu związkowcy zbierali wśród pracowników deklaracje o gotowości do akcji protestacyjnych. - Nie chcemy rozrób i burd - przekonuje „Przekrój” Piotr Szereda, rzecznik Wspólnej Reprezentacji Związków Zawodowych w JSW. Zapewnia, że konflikt nie przeniesie się na ulice Warszawy. Ale dokładnie to samo związkowcy mówili przed laty, a potem wsiedli do autokarów i jechali do sto-

licy. Dlaczego aż tak puszczają im nerwy? - Wszystko przez nieustający brak zrozumienia wśród władz kopalni i polityków - odpowiada Dariusz Potyrała, wiceprzewodniczący Związku Zawodowego Górników w Polsce.

Tymczasem nerwy mogłyby puścić przeciętnemu Polakowi, który patrzy na górnicze zarobki i przywileje. 14 pensji w roku, deputat węglowy (8 ton w naturze lub równowartość), piórnikowe (kto ma dziecko w wieku szkolnym, dostaje we wrześniu 180 złotych na zakup przyborów do nauki). Co miesiąc do górniczej kieszeni trafia średnio pięć-sześć tysięcy złotych brutto. Mimo to związkowcy wciąż się skarżą, jak bardzo jest im źle.

W imię łamania prawa

O przywileje można walczyć, nie wyciągając tysięcy ludzi na ulice. Niedawno 10 członkiń Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Pielęgniarek i Położnych przez dziesięć dni okupowało sejmową galerię, domagając się wpisania do nowej ustawy o lecznictwie zakazu zatrudniania ich na kontraktach. Politycy mieli problem, jak potraktować ten protest. Obchodzili się z niezadowolonymi pielęgniarkami jak z jajkiem. Żadnego nie obruszyło to, że kobiety nocowały w Sejmie. Gdy 10 zdesperowanych siostr zaczęło naciskać posłów, aby wpisali do ustawy postulowaną przez nie poprawkę, wielu parlamentarzystów gotowych było im ulec. Choć jawnie wymuszały uchwalenie ustawy niezgodnej z konstytucją. W 2005 roku Trybunał Konstytucyjny orzekł bowiem, że ponieważ lekarzom umożliwiała się pracę na kontraktach, nie wolno tego zabronić pielęgniarkom. Do tej pory z etatów na kontrakty przeszło ponad 20 tysięcy pielęgniarek oraz położnych. Ponieważ zaświadczenie o prawie wykonywania zawodu ma 211 tysięcy, widać tę statystyczną prawdę - zdecydowana większość wciąż jest na etatach. Ale →

REKLAMA



Miesięcznik **Press** organizuje
VII Ogólnopolski Konkurs Fotografii Prasowej

GRAND PRESS PHOTO

w sześciu kategoriach:

Wydarzenia • Ludzie • Życie codzienne
Sport • Przyroda • Fotokasty

Ogłoszenie wyników i otwarcie
wystawy pokonkursowej odbędą się

12 maja 2011 roku
w warszawskiej Kinotece

Nagrodę główną **10 tysięcy złotych** otrzyma fotograf, którego zdjęcie będzie cechowała najwyższa wartość informacyjna, merytoryczna i techniczna oraz oryginalna wizja przy zachowaniu etycznych kanonów zawodu.

Jury Grand Press Photo 2011 przewodniczy
Lucian Perkins
zwycięzca World Press Photo w 1996 roku

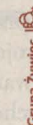
www.grandpressphoto.pl

Mecenas
Grand Press
Photo 2011:



Partner wystawy:

Sponsorzy konkursu i wystawy:



Sponsorzy wystawy:



Partner logistyczny:

→ po prostu już teraz panicznie zaczęła się bać, że je straci. – Dyrekcje prywatyzujących się szpitali w ramach oszczędności będą nas zmuszać do podpisywania kontraktów – wieszczyła Longina Kaczmarek, wiceszefowa OZZPiP.

Jeśli chodzi o wynagrodzenie, nie byłaby to dla pielęgniarek wielka krzywdą: za godzinę pracy na etacie zarabiają teraz 15-20 złotych, na kontrakcie – od 25 do nawet 50. Niektóre na kontraktach wyciągają po sześć tysięcy złotych miesięcznie. Z tej kwoty jednak same muszą opłacić ZUS i odprowadzić podatki. – Kontrakt nie zapewnia płatnego urlopu wypoczynkowego ani urlopu wychowawczego, poza tym pozwala dyrektorom szpitali wydłużać pielęgniarkom czas pracy, co naraża na szwank zdrowie nie tylko pielęgniarek, ale i pacjentów – wymieniała kolejne wady Longina Kaczmarek.

Okupujące Sejm pielęgniarki mówiły, że kontrakt to umowa śmieciowa i tsunami, które obróci w perzynę całą opiekę zdrowotną. – Nie ma nic lepszego niż kontrakt, nie chcemy wracać na etaty – mówiły z kolei te, które już kontrakt podpisały i głośno zaczęły protestować... przeciwko tamtym protestującym.

Tak więc na oczach wszystkich pielęgniarki się pokłóciły. A politycy mogli odetchnąć: siostry nie mówią już jednym, silnym głosem. Nie to co nauczyciele.

Czy się stoi, czy się leży...

To grupa, która zgodnie narzeka na swoje zarobki i ciężki los. Choć systematycznie spada liczba uczniów (trzy lata temu było ich sześć milionów, teraz mamy o 500 tysięcy mniej), zmniejsza się liczba szkół (w ciągu ostatnich pięciu lat zamknięto trzy tysiące placówek), to liczba nauczycieli nie maleje, a państwo coraz więcej wydaje na ich pensje. Od lat dostają podwyżki. W tym roku też, choć inni pracownicy budżetówki muszą obejść się smakiem. Oświa-

towe związki kują żelazo, póki gorące. Właśnie negocjują wysokość nowego wynagrodzenia. Rząd proponuje, by pensja zasadnicza początkującego nauczyciela wyniosła 2182 złote, a nauczyciela dyplomowanego – 2995 złotych.

– To jasne, że jeśli będzie można uzyskać więcej, będziemy się domagać więcej – mówi „Przekroju-

Donald Tusk musi zdawać sobie sprawę, że jeśli zamachnie się na górnicze przywileje, górnicy zamachną się na jego rząd

wi” Wojciech Jaranowski, rzecznik oświatowej Solidarności.

A trzeba pamiętać, że nauczyciele nie żyją tylko z pensji zasadniczej. Dochodzą jeszcze dodatki, a ich lista jest długa – mieszkaniowy, wiejski, motywowany, funkcyjny, za ciężliwe warunki, za wychowawstwo... Po zagwarantowanych przez rząd najbliższych podwyżkach średnie wynagrodzenie nauczyciela dyplomowanego (na najwyższym szczeblu awansu zawodowego) ma przekroczyć 4,8 tysiąca złotych. I tu ciekawostka. Kto nie osiąga średniej obiecanej przez rząd, bo na przykład nie chce być wychowawcą klasy albo za mało się angażuje – to i tak dostaje wyrównanie do średniej, żeby nie czuł się pokrzywdzony. Sprawiedliwość rodem z socjalizmu zgodnie z powiedzeniem: czy się stoi, czy się leży, pięć tysięcy się należy. Rocznie na ten cel pójdzie z budżetu około 250 milionów złotych.

Nawet sam prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego Sławomir Broniarz przyznaje w rozmowie z „Przekrojem”, że taki sposób wyrównywania płac jest absurdalny i niewychowawczy. Nauczyciele jednak nie zamierzają z niego rezygnować. Tak jak i z innych cennych przywilejów.

Nauczycielska Solidarność szykuje się do protestów, by zdyscyplinować rząd przed wyborami. Na swojej stronie internetowej pyta pedagogów: Strajkować? Dyżurować pod Urzędem Rady Ministrów z plakatem „Odwołać Hall”? A może nic nie robić? Najwięcej głosów jest za strajkiem, najmniej za bezczynnością.

Na jedną Kartę

Związkowcy wystosowali już do premiera apel o odwołanie minister edukacji narodowej, jednak niecierpliwią się, bo Donald Tusk nie zamierza pozbywać się Katarzyny Hall. To oznacza, że pedagodzy mogą spodziewać się zmian w Karcie nauczyciela i zapisanych w niej przywilejach – przy ministerstwie obraduje zespół, który opracowuje projekt zmian w statusie nauczycieli.

Jest się czego bać. Teraz nauczyciele, choć dostają pensję przez cały rok, pracują tylko przez pół. Większość z nich ma wolne w weekendy, wakacje, święta i ferie. A jeśli uznają, że są zmęczeni pracą, mogą aż trzy razy w karierze wziąć płatny urlop na ratowanie zdrowia. 36 miesięcy, na które wystarczy zaświadczenie od lekarza internisty.

Mimo to nauczyciele narzekają, że są źle opłacani i przemęczeni. Mówią, że zarabiają mniej niż ich koledzy z innych krajów. Zapominają dodać, że pracują dużo mniej od nich. Każdy pedagog powinien poświęcać pracy 40 godzin tygodniowo, lecz trudno ich z tego rozliczyć. Tygodniowy czas pracy, czyli pensum, dla większości wynosi zaledwie 18 godzin lekcyjnych. To 13,5 godziny zegarowej. Niedawno za sprawą znieprawdzonej minister Hall nauczyciele szkół ponadgimnazjalnych zostali zobowiązani do przeprowadzenia jednej godziny lekcyjnej dodatkowo, a ci z podstawówek i gimnazjów – dwóch. Wśród nauczycieli zawrzało, choć na przykład ich koledzy w Hiszpanii czy

Wielkiej Brytanii pracują przy tablicy 23 godziny zegarowe tygodniowo, a we Francji – 24. Na Zachodzie też rzadko się zdarza, by tak jak u nas pedagodzy mieli wakacje i ferie jak uczniowie. Niemieckim belfrom przysługują tyle dni wolnych, ile pracownikom służby cywilnej. W Finlandii odpoczywają od 23 do 38 dni, w Portugalii – miesiąc. Polscy nauczyciele chcą zarabiać jak tamci, ale pracować jak dotąd.

Samorządy, które prowadzą szkoły, mają już dość Karty i zapisanych w niej przywilejów. Dla tego przygotowują propozycje zmian w nauczycielskim prawie. – Będzie duży opór – przewiduje Cezary Przybylski, starosta bolesławicki, który pracuje w zespole do spraw edukacji i kultury Związku Powiatów Polskich. – Nie da się jednak dłużej utrzymywać Karty, jeśli chcemy mieć oświatę nowoczesną, niezakonserwowaną.

Samorządowcy chcą wykluczyć z Karty tych, którzy nie pracują przy tablicy – bibliotekarzy, pedagogów, logopedów. Pozostającym chcieliby zwiększyć pensum do 20-22 godzin. Proponują też skrócenie urlopów tak, aby nauczyciele mieli 52 dni wakacji zamiast 78. A jeśli zechcą dodatkowym urlopem ratować sobie zdrowie, to żeby obejmował ich orzecznik ZUS, a później ZUS stałym chcieliby zwiększyć pensum do 20-22 godzin. Proponują też skrócenie urlopów tak, aby nauczyciele mieli 52 dni wakacji zamiast 78. A jeśli zechcą dodatkowym urlopem ratować sobie zdrowie, to żeby obejmował ich orzecznik ZUS, a później ZUS stałym chcieliby zwiększyć pensum do 20-22 godzin.

Absurdalne pomysły, szkodziłoby działania, deregulacja edukacji – tak związki skomentowały samorządowe propozycje. I odpowiedziały z grubej rury. Wykorzystały to, że nauczyciele to 600 tysięcy wyborców, którzy mają w ławkach 5,5 miliona uczniów, a każdy uczeń ma przeliczyć rodzinę. ZNP napisał list do rodziców, przestrzegając przed szkodliwymi planami zmian w oświacie. Solidarność zbierała wśród rodziców podpisy pod apelem o odwołanie minister Hall. W słowie przewodnim wszystko było wyjaśnione: „Obrona wspólnego dobra wymaga współpracy rodziców i nauczycieli”. – Skoro ma odważyć się, żeby sięgnąć po złotówkę, to niech się odważy jeszcze bardziej – prowokuje rząd Szmulewicz. – Niech wprowadzi rozwiązanie systemowe, obejmie rolników podatkiem dochodowym i niech raz na zawsze skończy się dyskusje o ZUS, KRUS i o tym, jak to rolnicy mają dobrze.

Wspólnie w obronie swoich przywilejów potrafili też zawsze stawiać rolnicy. Oni też są wyborczą potęgą – liczba gospodarstw wynosi prawie 1,6 miliona. Kto żyje z roli, nie musi płacić podatku dochodowego, bo ma podatek rolny, a zamiast odprowadzać wysokie składki do ZUS, symbolicznie dokłada się do Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego. Coroku budżet państwa przeznaczają na rolnicze emerytury i renty ponad 15 miliardów złotych – wyjętych z kieszeni pozostałych obywateli, nierolników.

Złotówka na wagę złota

Dotąd państwo nie obciążało też tej grupy składką zdrowotną. Ale wkrótce będzie musiało się to zmienić. Trybunał Konstytucyjny uznał, że taki przywilej przyznawany rolnikom bez względu na ich sytuację materialną jest niezgodny z konstytucją. Rząd dostał 15 miesięcy na poranie się z tym problemem.

Minister rolnictwa Marek Sawicki zaproponował niedawno, żeby właściciele gospodarstw zaczęli płacić składkę na ubezpieczenie zdrowotne. Co roku zaledwie złotówkę od hektara. To stawka śmieszna, jeśli wziąć pod uwagę, że średnia wielkość gospodarstwa w Polsce to 10 hektarów. Większość rolników nie zapłaciłaby więcej niż 10 złotych, podczas gdy każdy inny obywatel (nierolnik), który prowadzi jednoosobową działalność, musi płacić na ubezpieczenie zdrowotne ponad 243 złote. I to co miesiąc.

– Nie chodzi o tę złotówkę, ale o zasadę – tłumaczy Wiktor Szmulewicz, prezes Krajowej Rady Izby Rolniczych. I przedstawia sposób myślenia przeciętnego rolnika: dziś zgodzę się na tyle, a jutro rząd uzna, że jest dziura budżetowa i trzeba wyciągnąć ode mnie więcej. Co wtedy?

Tak więc chłop chciałby trzymać się tego, co ma teraz, a teraz nie musi płacić nawet 10 groszy. Dla utrzymania tej zasady może zablokować ciągnikiem drogę.

– Skoro ma odważyć się, żeby sięgnąć po złotówkę, to niech się odważy jeszcze bardziej – prowokuje rząd Szmulewicz. – Niech wprowadzi rozwiązanie systemowe, obejmie rolników podatkiem dochodowym i niech raz na zawsze skończy się dyskusje o ZUS, KRUS i o tym, jak to rolnicy mają dobrze.

Na razie premier Donald Tusk robi groźną minę do gry związkowców. – Tak jak chuligan nie może udawać kibica, tak też nie może udawać działacza związkowego. Ci, którzy popełnili wykroczenia i przestępstwa, będą ścigani – zapowiedział ostro po zeszytygodniowej demol-

ce w siedzibie KGHM. Tylko czy wystarczy mu konsekwencji, gdy przed wyborami bitni związkowcy załomocą pięściami w drzwi jego kancelarii?

Zobacz, jak pielęgniarki upominały się o swoje na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie

REKLAMA

Zobaczyliśmy czego Twoja Firma oczekuje od banku. Jesteśmy gotowi.

Zapytaliśmy kilkuset prezesów firm i menedżerów o ich oczekiwania odnośnie oferty finansowania. Jesteśmy gotowi.

Sprawdź naszą ofertę **Finansowania od ręki** – do 1 miliona zł nawet w 1 dzień.

Szczegółowe informacje o produkcie oraz o opłatach i prowizjach znajdziesz w oddziale Banku oraz na www.bosbankdlafirm.pl

BOS BANK

www.bosbankdlafirm.pl



R O Z M O W A

MAZUREK BEZ CUKRU

Jest nadzieja

„Bogurodzicy” nie napisał, telewizji stara się nie oglądać, ale nie narzeka, bo widzi wokół siebie masę utalentowanych młodych Polaków. **WOJCIECH WAGLEWSKI** w rozmowie z Robertem Mazurkiem opowiada, jaki ma pomysł na kulturę

W Anglii lament: „Idol” i „X-Factor” zabijają muzykę pop! U nas „Idol” już był, a teraz mamy trzy takie programy naraz. Czyli koniec świata.

– Niech Anglicy nie narzekają, mają świetny pop. Z rockiem trochę gorzej, ale muzykę rozrywkową mają na poziomie. Przynajmniej mają co zabijać, a u nas? Nie mamy w ogóle muzyki rozrywkowej, to i nie ma czego niszczyć.

To może będzie odwrotnie: zaleje nas fala młodych talentów?

– Żeby te programy miały jakiś sens, by wykreowały osoby zdolne, to w jury powinni zasiadać producenci muzyczni, którzy w imieniu wytwórni płytowych mieliby interes w znalezieniu talentów.

To jaki problem? W Anglii i Stanach kimś takim jest twórca tych formatów Simon Cowell.

– Choćby taki, że producentów muzyki rozrywkowej mamy bardzo niewiele. Ja znam tylko Andrzeja Smolika. Gdyby on brał w tym udział, moglibyśmy oczekiwać, że powstanie fantastyczna płyta, bo on wie, jak to zrobić. Ale tak nie jest, nie ma kreatywnych wytwórni. One wolą czekać na to, co wykreuje telewizja.

Wszyscy krytykują „X-Factor”, „Bitwę na głosy” czy co tam jeszcze jest, a ty jakoś nie dramatyzujesz.

– Uczciwie mówiąc, nie oglądam ich zbyt dokładnie, ale słyszę narzekania, że nie promują twórczości autorskiej. No dobrze, to jednak żaden argument, bo taki Marek Grechuta to też nie była twórczość autorska: do znanych wierszy muzykę pisał mu Kanta Pawluśkiewicz. Autorskie nie były też ani Demarczyk, ani Santor...

...ani Perfect, któremu teksty pisał zawodowy tekściarz, a stały się kultowe.

– Bo jest coś takiego jak piosenka, więc argument o autorskości zupełnie mnie nie przekonuje. Inny zarzut da się sprowadzić do tego, że ludzie nie rozumieją, iż telewizja kieruje się własnymi prawami, musi stworzyć show. Dlatego proszę nie mieć pretensji do niej, ale do preferencji estetycznych narodu polskiego.

Nie tylko polskiego.

– Być może, ale myślę, że polskiego szczególnie, bo jednak – i tu przepaszam cię, bo wywód będzie nieco dłuższy, ale wróć do czasów mojej młodości...

No tak, to potrwa. Opowiedzcie nam, panie Wojciechu, jak to było w XIX wieku.

– Nie, dementuję, jakobym to ja napisał „Bogurodzicę”, a do szkół chodziłem w wieku XX i tam uczono mnie, że polska inteligencja została

wyrżnięta i komunizm tę inteligencję przywróci do łask. Tymczasem sam ją wyrugował. Moim zdaniem stąd ta zapaść estetyczna, i to na każdym poziomie. Dlaczego kiedy przekraczasz granicę, to od razu widać, że wjechałeś do Polski, bo na wielkim billboardzie wulkanizatora reklamuje goła baba? Dlaczego kiedy przeskakujesz pilotem, od razu wiesz, że trafiłeś na polski kanał? Dlaczego mamy najgorzej ubranych mężczyzn na świecie?

Nabrałem cię, wcale nie chciałem rozmawiać o modzie.

– Dobrze, już wracam... W PRL mieliśmy dwa programy telewizyjne i trzy radiowe, cała inteligencja jakoś tam się schroniła, ale teraz mamy 50 kanałów telewizyjnych i 300 radiowych i kto ma je robić?

Teraz będziesz musiał wyjaśnić, jak się ma wybitnie inteligencji do „X-Factor”.

– Współczesny rynek telewizyjny próbuje temu krajowi z wyrżniętą inteligencją pokazać coś fajnego i tym czymś fajnym jest dla tego narodu „X-Factor”. Kiedyś polska muzyka rozrywkowa to była Irena Santor, Ludmiła Jakubczak czy Wanda Warska, a dziś jedyna artystka, która przychodzi mi do głowy, to Ania Dąbrowska. Niewiele jak na 40-milionowy kraj.

W podobnym programie debiutowała Monika Brodka, a jej ostatnia płyta jest niezła.

– Moi synowie mówią, że rzeczywiście ta płyta daje radę, więc dobrze mamy dwie osoby. Ich żaden show nie zabije. Pozostaje wierzyć, że tacy ludzie w jury jak Kora będą potrafili odnaleźć wśród uczestników nową Monikę Brodkę.

Jak to jest, że w radiu nie uświadczysz zespołów, które się najlepiej sprzedają? Hitem był Kult unplugged, niemal nieobecny w radiu.

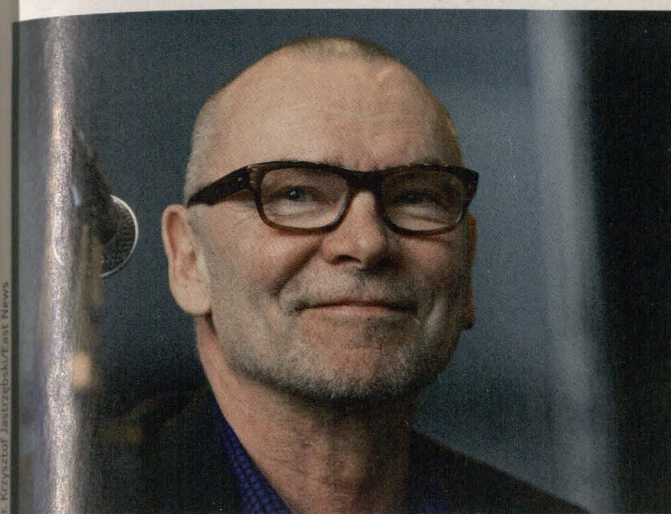
– Było kiedyś coś takiego jak Top Trendy i okazywało się, że na 10 najlepiej sprzedających się płyt w Polsce połowa to płyty z górnej półki: Ania Jopek, Tomek Stańko czy Rafał Blechacz...

To znaczy, że mamy kompletny rozjazd między tym, co w mediach, a tym, co ludzie kupują.

– Oglądałem kiedyś film BBC o Polsce lat 80. pokazanej przez pryzmat festiwalu w Jarocinie i Kołobrzegu. Gdyby dziś pokazać Polskę z Off Festivalu Rojka czy, nie chwając się, z mojego Męskiego Grania i to, co znajdziesz w telewizji publicznej, byłyby to również dwa kompletnie nieprzystające do siebie światy: świat realny i świat mediów.

Ale przecież media żyją z tego, co chcą ludzie. A oni – jak się okazuje – chcą lepszej muzyki.

P R Z E K R Ó J U



Wojciech Waglewski

Rocznik 1953, gitarzysta, wokalista, kompozytor, producent. Grał w grupach Bemibek, Osjan, Morawski Waglewski Nowicki Hołdys i Voo Voo, które stworzył w 1985 roku. Jego piosenki to kwintesencja rockowej zadziorności, popowej lekkości i otwartości na muzykę etniczną. Ostatnio wydał z Voo Voo „Wszyscy muzycy to wojownicy”. Ma dwóch synów, którzy również zajmują się muzyką, występując pod pseudonimami Fisz i Emade.

– Mechanizm jest prosty: media patrzą na słupki oglądalności, a te kreują odbiorcy, którzy znają jedynie to, co jest dostępne w tych mediach.

Koło się zamyka: lubimy to, co już znamy. Jak w „Rejsie”.

– Telewizja niczego nie kreuje, bo nie potrafi i jej się nie chce, więc ludzie oglądają to, co im się pokazuje.

„Kult” jest niemedialny?

– A Ania Jopek jest niemedialna? A Raz, Dwa, Trzy też? Pokaż mi przeciętnego człowieka, który odróżni trąbkę od saksofonu, a my mamy jednego z najlepszych trębaczy świata – Tomka Stańkę. Mamy świetny jazz, znakomitych pianistów i gdzie można to zobaczyć, gdzie można tego posłuchać?

Może uważają, że klasyka jest dla ramoli?

– A co jest dla młodych? Słyszałeś o kimś takim jak DJ Eprom?

Nie.

– Bo i niby gdzie miałeś słyszeć, a to jest mistrz świata w didżejowaniu! Był na mistrzostwach w Nowym Jorku i zabił tam wszystkich. Albo Michał Jacaszek, polski twórca muzyki minimalistycznej, popularny nie u nas, lecz w Skandynawii. Takich ludzi pokazywałem na Męskim Graniu. U mnie grali Kim Nowak, Mitch & Mitch, po których występie pan z „Gazety Wyborczej” napisał, że wystąpił „duet Mitch & Mitch”.

Słucham?!

– Tak, napisał o duecie, chociaż tam w zespole gra dziewięć osób! Pan napisał też o tym, że „ludzi porwał Ryszard Stańko” (*śmiech*). Mimo tej fałszywej krytyki na pierwszym koncercie mieliśmy już sprzedaną całą trasę, a byli to artyści niszowi, nieznanymi z mediów. Jedyną rozpoznawalną osobą był Maleńczuk.

A Stańko?

– Tomek Stańko czy Voo Voo to jednak muzyka niszowa.

Przecież jesteś rozpoznawalny, popularny...

– A ty wiesz z czego? Z plakatów sponsora, czyli Żywca.

To jakaś ściema. Grasz od 40 lat.

– I mam parę platynowych czy złotych płyt, bo napisałem kilka przebojów. Nie ma nic prostszego, niż napisać przebój: „Spotkałem się z kolegą, kolega jest od tego...” i dalej już leci.

A wasze ostatnie płyty?

– Sprzedają się na poziomie połowy złota, co jest w Polsce jakimś obciachem, ale, chwała Bogu, istniejemy 25 lat i ludzie ciągle przychodzą na nasze koncerty.

Biletowane?

– Tak. I płacą coraz więcej, za co wszystkich przepaszam, ale dołożyli nam – w ramach upowszechniania kultury – VAT, więc kluby zaczynają rezygnować z koncertów.

Zostaną same darmowe spędy.

– No jasne, i słusznie, w ten sposób popełnia się samobójstwo. Miasta wykładają na promocję spore pieniądze, zespoły się na to łapią, grają, a potem są zdziwione, że nikt nie chce płacić za ich koncerty.

A ty grywasz na takich niebiletowanych imprezach?

– Czasami, i jest to spore wyzwanie, by przekonać do siebie ludzi, którzy kompletnie nie wiedzą, kto jest na scenie. Na koncercie w klubie wszyscy cię znają i spijają słowa z twych ust, że zacytuję klasyka, a tu jest niedziela z tatusiem i może zdarzyć się przygoda, jaką wiele lat temu przeżył w Sopocie Staszek Sojka z zespołem Sfóra. Po jego występie jakiś pijaczek, trzymając się barierki, wrzasnął: „No, i żebym was tu, kurwa, więcej nie widział!”.

Co by było, gdyby takiej masowej publice puścić Voo Voo?

– Kiedyś pewna animatorka kultury zaprosiła nas do Górek Klimontowskich do klubu disco polo. I tam na dyskotekę przyjechały autokary młodzieży wiejskiej. My występowaliśmy po pokazie disco polo i zostaliśmy przyjęci owacyjnie.

Naprawdę?

– Tak, bo ci ludzie byli szalenie wdzięczni, że ludzie znani z radia, z telewizji przyjechali do nich, na wieś. Na tym polega fenomen disco polo, że oni sami szukali sobie odbiorcy.

Taki był też fenomen Ich Troje, którzy na prowincji byli bardzo popularni pięć lat przed tym, zanim Nina Terentiew wpuściła ich do Dwójki.

– W ten sposób powstawały i powstają alternatywne wobec mediów obiegi kultury, artystów i odbiorców olanych przez wielkie media. Tak się rodziła prawdziwa kultura odrzuconych.

To stań po ich stronie, po stronie wykpiwanych i skazywanych na disco polo.

– Żeby to skutecznie zrobić, trzeba by najpierw znieść VAT na koncerty, bo to generuje koszty, i zweryfikować dyrektorów domów kultury, i to nie tylko na wsiach. Kiedy się przeprowadziłem na Ursynów, zorganizowałem w domu kultury koncert Voo Voo dla sąsiadów, a byliśmy wtedy u szczytu popularności. Przyszli tylko znajomi, a pani dyrektor z dumą oznajmiła: „Nie rozwieszaliśmy plakatów, bo jeszcze przyszłaby młodzież i mogłaby zdemolować salę”. W ten sposób do dziś funkcjonuje 90 procent domów kultury.

Skoro grono ludzi słuchających Stańki, Możdżera czy was jest tak duże, to może media otworzą się na takich twórców?

– Telewizja publiczna wydaje mi się stracona, ale upatruję szansy w tym, co dzieje się z rozgłośniami radiowymi. Trójka, nie rezygnując z ambicji, odniosła spektakularny sukces, i to daje do myślenia mediom komercyjnym. Dowody? Maleńczuk ma swój program w Zetce i puszcza tam Coltrane’a i Nusrata Fateha Alego Khana! Coś się chyba powoli odradza. I w tym widzę nadzieję.



Aaaaaby zaistnieć w sieci

Szukasz w Internecie miejsca na wakacje? Niech ci się nie wydaje, że Google wskaże ci najlepsze. On podsuwa to, co zostało najlepiej wypromowane

PIOTR STANISŁAWSKI

Bo widzisz, u nas trzeba biec z całą szybkością, na jaką ty w ogóle możesz się zdobyć, ażeby pozostać w tym samym miejscu. A gdybyś się chciała gdzie indziej dostać, musisz biec przynajmniej dwa razy szybciej”.

LEWIS CARROLL „ALICJA PO DRUGIEJ STRONIE LUSTRA”, TŁUMACZENIE ROBERT STILLER

To jest walka. Twarda i bezwzględna, choć rozgrywająca się po cichu. Ci, o których się toczy, nie mają pojęcia o jej przebiegu. Każdy z nas napędza ten konflikt nawet kilkadziesiąt razy dziennie. Ilekroć wyszukujesz w Internecie jakiegoś hasła (a 95 procent zapytań w Polsce obsługuje Google), widzisz skutki tej wojny. A właściwie tylko jej zwycięzców, czyli 10 pierwszych wyników, które dumnie okupują pierwszą stronę. Przegranym jednak nie giną. Czeka ich znacznie gorszy los – zapomnienie.

A wszystko bierze się z naszego lenistwa. Bo choć popularne wiosną zapytanie „hotel spa mazury” daje aż 380 tysięcy trafień, to i tak zdecydowana większość ludzi przejrzy zaledwie te, które znajdują się na pierwszej stronie. Nic więc dziwnego, że świadome siły Internetu firmy zaciekle wojują o znalezienie się w magicznej pierwszej dziesiątce. Są branże, w których ta walka przypomina nieustający wściekły szturm. Są i takie, w których można pozwolić sobie na powolne, stopniowe budowanie pozycji.

Najostrzejsza jątka odbywa się w bankowości, turystyce i nieruchomościach. Tu liczy się każdy drobniak, a najsilniejsi nieustannie spychają się z pierwszych miejsc. Nic dziwnego – wysoka pozycja w wyszukiwarce to nie tylko szansa na złowienie nie zdecydowanego klienta, ale też kwestia prestiżu. Dotyczy to zwłaszcza bankowości internetowej, gdzie nieobecność w elitarnym gronie świadczy po prostu o nieudolności poruszania się w naturalnym środowisku, czyli sieci.

Bywają jednak i takie branże, po których nie spodziewałbyś się ostrej walki. O, na przykład biura tłumaczeń. Ich klientom tak naprawdę

obojętne jest, kto wykona zlecenie. Liczy się więc obecność na najlepszych, najbardziej rzucających się w oczy pozycjach. Bo dobre miejsce to wzrost zarobków.

Rozsądne rzucenie się w oczy to nie lada sztuka. Wystarczy spojrzeć na stronę wyszukiwarki. Spróbujmy naszego „hotel spa mazury”. Na górze strony króluje żółte pole z małym napisem „Reklamy”. To linki płatne, niezwykle ważna, bo wyróżniona część wyników. By się tu dostać, trzeba po prostu zapłacić. Zaletą jest możliwość natychmiastowego umieszczenia tam swojej strony. Wadą – niechęć użytkowników. Kolejna płatna strona to prawa część okna, gdzie pokazują się mniej efektowne, lecz tańsze reklamy.

Wreszcie obszar krytyczny, tak zwane wyniki generyczne. Tu nie można się dostać, zwyczajnie za to płacąc, bo pozycja stron w rankingu Google jest efektem działania nie tylko sprytnego, ale i złożonego algorytmu zwanego PageRank. Co ciekawe, jego nazwa nie pochodzi od angielskiego słowa *page* (strona), lecz od nazwiska Larry’ego Page’a, jednego z założycieli Google i głównego twórcy systemu.

To właśnie jego pomysł zrewolucjonizował pod koniec lat 90. metody przeszukiwania sieci i uczynił z Google giganta rynku. Chodziło o to, by najwyższą ceną znalazły się te strony, które najbardziej cenią sami internauci. A o ich uznaniu świadczy przede wszystkim to, ile tekstów powołuje się na daną stronę. Możesz zrobić najwspanialszy serwis świata, ale Google go zlekceważy, jeśli nie docenią go inni, powołując się na niego sami użytkownicy sieci.

W tym momencie zaczyna się wielka gra o pozycję. Choć szczegóły działania PageRank są bodaj najściślej chronioną tajemnicą Google, to specjaliści dobrze wiedzą, jak wywindować stronę na wyżyny listy wyników. Dla laika zahaczające o magię działania noszą w branży nazwę SEO – Search Engine Optimization – a zajmują się nimi wysoce wyspecjalizowane firmy. Są ich dziesiątki. Wystarczy wpisać w Google „pozycjonowanie stron”. Bum! Osiem milionów trafień! Oczywiście i tu toczy się walka o pierwsze pozycje, ale (jak zwykle) nie muszą one wskazywać najlepszych w branży. Ci naprawdę dobrzy złowią klientów gdzie indziej.

Windowanie hotelu

A więc zaczniemy. Oto mamy piękny, zaciężny hotel na Mazurach, a w nim spa niczym ze snu. Mamy też świadomość, że w dzisiejszych czasach podobny biznes bez dobrej



Ten gąszcz to mapa powiązań serwisów internetowych i środowisko naturalne PageRank – tajemniczego, rządzącego siecią algorytmu Google

strony internetowej nie ma szans na prawdziwy sukces. Zatrudniłmy więc niewielką firmę, która za rozsądne pieniądze przygotowała dość estetyczny i nowoczesny serwis. Czekamy. Mijają tygodnie, lecz po wpisaniu upragnionego hasła „hotel spa mazury” nadal nie widzimy naszej strony. Owszem, pojawia się, gdy dorzucimy nazwę miejscowości, ale najlepiej też hotelu, ale przecież w ten sposób nie złowimy klientów.

To właśnie jest moment, w którym należy się zwrócić do fachowców od SEO. Ci, nawet jeśli nam tego od razu nie powiedzą, zauważą pierwszy błąd, jaki popełniliśmy. Otóż zwracamy się do nich trochę za późno. Tak napraw-

dę nie ma co liczyć na łut szczęścia – strona sama się nie wypromuje, za to my oszczędzilibyśmy czas i pieniądze, zatrudniając państwo od SEO już na etapie projektowania serwisu.

Pierwszym krokiem będzie decyzja, czy mamy czas i promujemy swoją stronę w wynikach generycznych, czy może terminy gonią i na początek musimy skorzystać z płatnej reklamy. W przypadku hotelu decyzja może zależeć od pory roku. Dobre wypromowanie strony zajmuje bowiem nawet od czterech do sześciu miesięcy. Jeśli jest już luty i za chwilę ruszy akcja wyszukiwania miejsc na wiosenne wypady, to na początek lepiej zdecydować się na reklamy.

Jednak tak czy inaczej wkrótce czeka nas zmiana naszej strony. Firma SEO zacznie bowiem od audytu serwisu, który wykaże, jakie zmiany trzeba wprowadzić, by sieciowi agenci Google go docenili. Informacje na potrzeby PageRank gromadzą roboty – programy skanujące sieć w poszukiwaniu nowych stron i śledzące zmiany na tych, które już znają.

By robot poczuł się u nas dobrze, kod strony powinien zawierać specjalne informacje o jej treści i przeznaczeniu. Takie metatagi nie są widoczne dla użytkownika, ale sprawiają, że robot zapamięta dokładnie te dane, na których nam zależy. Zwróci też uwagę na wewnętrzną strukturę serwisu – jasne odniesienia →

→ z jednej części do innych, a więc dobrze opisany link, który przekieruje nas z części poświęconej wyposażeniu pokoi do menu restauracji, zabiegów spa i jazdy konnej.

Wszystkie te trudne do ogarnięcia dla laika szczegóły wraz z zaleceniami zmian znajdują się w raporcie z audytu. Kolejnym krokiem będzie wybór fraz – zestawów słów, po których wpisaniu oczekujemy, że nasz hotel pojawi się w wynikach wyszukiwania. Oczywiście chciałoby się, by każde skojarzenie umieszczało naszą stronę na samym początku listy wyników, ale uwaga – każda fraza kosztuje. A ściślej rzecz biorąc – kosztuje pojawienie się naszej strony na wysokich pozycjach listy.

Specjalista od SEO doradzi, jakie frazy będą najskuteczniejsze, a w co nie warto się pchać. Czyli – mówiąc po ludzku – jakie zestawy słów wpisywanych przez użytkownika Google powinny doprowadzić go do naszej strony. W przypadku hotelu zaproponowałby: „hotel spa”, „hotel i spa”, „weekend w spa”, „weekend spa”, „spa na weekend”, „mazury spa”, „spa na mazurach”, „mazury hotel”, „weekend mazury”, „hotel weekend”.

Ale nic za darmo. W wycenie dostaniemy szczegółową informację, jak często internauci wyszukują dany zestaw słów. Im popularniejsza fraza, tym więcej zapłacimy za to, by hotel pojawiał się właśnie po jej wpisaniu. I tak za znalezienie się na pierwszym, drugim lub trzecim miejscu po wpisaniu frazy „hotel spa” możemy zapłacić miesięcznie 600 złotych. Za pozycje 4-6 damy 450 złotych, za 7-10 – 300 złotych. To przykładowa wycena dla naszego hotelu – wszystko zależy od klienta, konkurencji oraz trudności zadania.

Magia i chlām

Teraz pałeczkę przejmują specjaliści i rozpoczyna się właściwe pozycjonowanie strony. Sztuka polega na tym, by stosując się do do-

puszczalnych przez Google reguł, tak manipulować PageRank, by promowany serwis wznosił się ku pierwszej dziesiątce wyników. Jakie to reguły? Lista jest długa, ale wśród zakazanych praktyk znajduje się upychanie na stronie kluczowych słów tak, żeby nie były widoczne dla czytelnika, umieszczanie w serwisie stron, które wyglądają atrakcyjnie, ale automatycznie przekierowują internautę dalej, czy wielokrotne umieszczanie tych samych haseł mające zmylić roboty Google.

To, co jest dozwolone, a w dodatku mile widziane, to linki wiodące z innych stron na naszą. Tylko skąd je wziąć. Otóż metod jest kilka. Pierwsza z nich to tak zwane partnerstwa. Magicy SEO wyszukują w sieci strony, które mogą mieć coś wspólnego z naszym hotelem. Może to być na przykład serwis gminy, w której działamy. Albo strona poświęcona blogosławienstwu spa. Blog o kosmetykach. Serwis miłośnika Mazur. Możliwości jest mnóstwo, ale za każdym razem chodzi o to samo – umieszczenie w takim serwisie linków do naszej strony. Jednak PageRank jest sprytny i wyżej wycenia te linki, które wiodą ze stron, które same mają wyższą pozycję. Warto więc zawalczyć o serwis gminy – z pewnością wiele osób go doceniło.

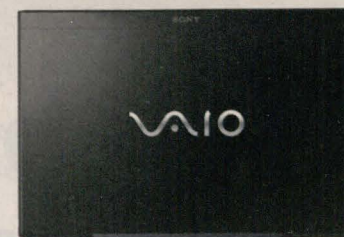
Kolejny sposób może wydać się kontrowersyjny, choć często jest podstawowym działaniem SEO. To tworzenie treści. Trzeba mozolnie zakładać blogi, serwisy, strony, których jedynym celem jest promowanie linków do strony danego hotelu. W tym przypadku sprawa jest trudna – byle jaki blog zawierający treści-śmieci nie zostanie przez PageRank wysoko oceniony, więc linkowanie z niego nie będzie wiele warte. Z drugiej strony stworzenie dobrego serwisu tylko po to, by służył za źródło linków, jest marnowaniem czasu i pieniędzy. Cała sztuka polega więc na tworzeniu rzeczy pozornie atrakcyjnych i warto-

ściowych, a w rzeczywistości tak przygotowanych, by najbardziej podobały się PageRank. Gdzie tu kontrowersja? No cóż, takie działania ociera się o zaśmiecanie Internetu chlāmem.

Czy to legalne? W sieci jest tylko jeden sędzia ostateczny. PageRank. Jeśli Google uznaje, że wolno stosować takie chwyt, któż mógłby ich zabronić? Ale uwaga! Pozycjonowanie stron to często stąpanie po cienkiej linii. Po jednej stronie znajduje się *white hat* SEO – metody oficjalnie dopuszczane przez Google, który w otwarty sposób informuje o tym zainteresowanych. Po drugiej mamy *black hat* SEO – nieczyste i niedozwolone chwyt. Tęgo Google nie lubi, a gdy kogoś przyłapie, kara jest okrutna – zwykle przesunięcie z czołówek rankingu na odległe miejsce. W niektórych przypadkach jednak wydawany jest wyrok śmierci – całkowite wykluczenie z PageRank. Wówczas jedyna nadzieja w zamartwychwstaniu, bo tylko od łaski króla Google zależy, czy i kiedy strona wróci do wyników wyszukiwania.

Cała sztuka polega na tym, by kroczyć po jasnej stronie linii i tylko troszkę, jedną stopą czasami na nią wstępować. To, co dzieje się na pograniczu obu metod, nazywane jest *gray hat* SEO – niesie ze sobą pewne ryzyko, ale za to może dać świetne rezultaty.

Gdy zainwestowane pieniądze przyniosą efekty i nasz hotel znajdzie się na wymarzonej pierwszej stronie wyników, nie spoczywamy na laurach. Tu naprawdę trzeba biec z całą szybkością, ażeby pozostać w tym samym miejscu. Czeka nas ciągle śledzenie tego, czego szukają internauci, obserwowanie sposobów, dzięki którym trafiają do naszego serwisu, stałe udoskonalanie strony, i nieustające rozbudowywanie bazy linków. W końcu konkurencja nie śpi i inne hotele po cichutku pną się wzwyż. Pierwsza strona kusi, oj, kusi.



A w środku:
Intel Core i5, 4GB RAM,
dysk 500 GB,
AMD Radeon HD 6630M
+ Intel HD Graphics

Latem w parku

PIOTR STANISŁAWSKI

Ładny, kształtny i na dodatek żywotny. Nowy Sony VAIO S skłania do przenosin z biur do parków

No nareszcie. Sporo lat minęło, zanim na rynku pojawił się przenośny komputer, który tak po prostu mi się podoba. No dobrze, nie liczę pomysłów Apple'a, bo te zawsze sunęły obok głównego nurtu. A ten był bardzo mulisty – producenci z niejasnych dla mnie powodów uważali, że jeśli laptop pochodzi ze średniej półki cenowej, to koniecznie trzeba zaszałać. A to jakieś bzdurne zdobienia do obudowy dodać, a to obłądny kolor zaaplikować, a to dziwacznie wypyginać plastik. Tak, wiem, że to rzecz gustu, ale od czasów wczesnych ThinkPadów niewiele pojawi-

ło się minimalistycznie ładnych laptopów.

Aż tu Sony pokazało VAIO S. Piękne. Czarne jak noc, gładkie i proste. Poza niezbyt nachalnym srebrnym logo pozbawione wszelkich szpecących upiększaczy. Jeszcze lepiej jest po odchyleniu pokrywy – wszystkich zmęczonych błyszczącymi wyświetlaczami czeka miła niespodzianka. W delikatnie matowym ekranie nie odbija się ani lampa, ani okno, ani nasze oblicze. W dodatku ekran świeci wyjątkowo jasno, więc możemy pracować nawet na ławce w parku w słoneczny dzień.

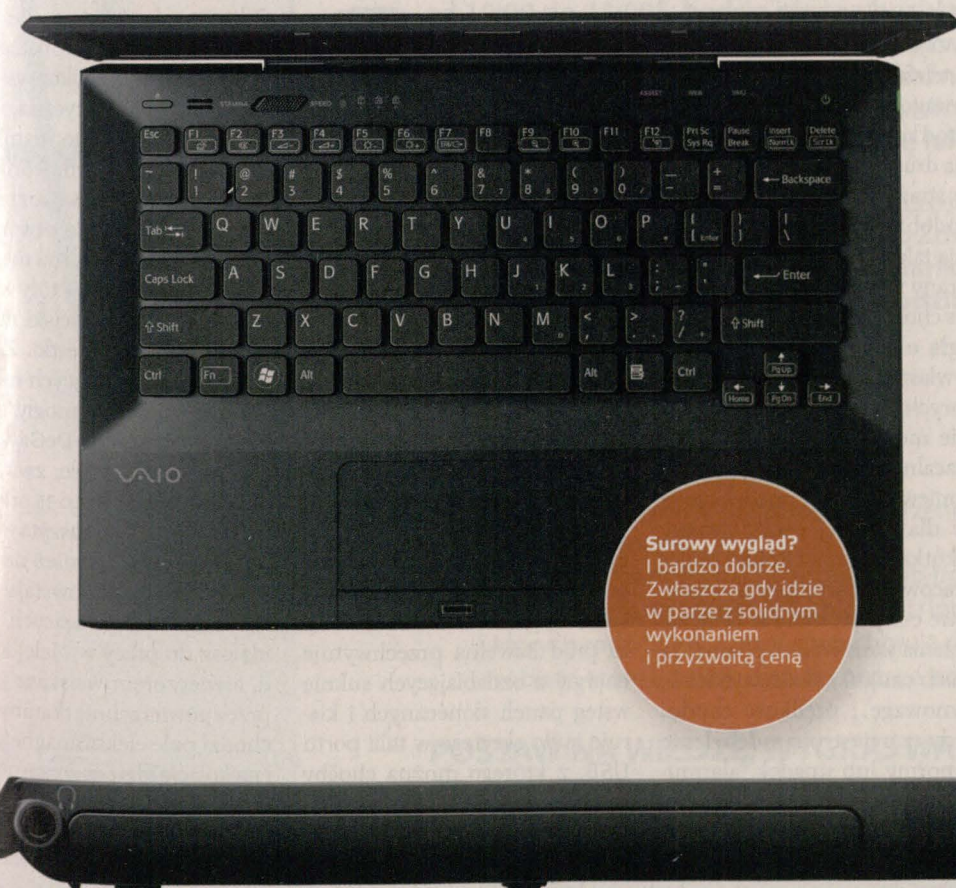
Parkowe okoliczności będą nam tym miłsze, że VAIO S ma wbudowany moduł łączności komórkowej. Wystarczy od spodu wetknąć kartę SIM, by komputer połączył się ze światem. Żadne modemy nie sterczą mu po bokach, nic się nie gubi i nie obłamuje.

Ze słonecznej ławki nie wygoni nas też zbyt szybko kończąca się bateria – procesor Intel i5 zbudowany w architekturze Sandy Bridge sprawia, że prądu wystarczy nam na długo. Jak długo? Zdaniem producenta nawet na siedem godzin, choć redakcyjne testy wskazują raczej na pięciogodzinny czas życia. No dobrze, jeśli wyłączymy wszystko, co wyłączyć można, i będziemy niezbyt często naciskali pojedyncze klawisze, pewnie do owych siedmiu godzin dociągniemy.

Dla tych, którzy szczególnie cenią długie letnie dni, Sony ma dodatkową zewnętrzną baterię. I tu kolejny plus – nie jest to bulwowata narośl zniekształcająca komputer, ale dyskretna plastikowa płytka przyczepiana pod spodem obudowy. Prawie jej nie widać, waży niewiele, a czas pracy wydłuża (teoretycznie) do 14 godzin. Do domu można wracać tylko na noc. Choć właściwie nawet i to nie. W końcu VAIO S mają podświetlaną klawiaturę, więc mrok nam niestraszny.

Skoro już tak nam się zebrało na chwalenie, to wypada wspomnieć jeszcze o dużym i wygodnym touchpadzie, podręcznym przełączniku uruchamiającym tryb energooszczędny, i drugim, który wyłącza łącze wi-fi.

Mamy więc ładny, szybki, oszczędny komputer z dobrym ekranem. Zapewne więc przyjdzie nam zapłacić za niego jak za zboże. Otóż nie. Oficjalna cena wynosi 4,5 tysiąca złotych, ale po krótkich poszukiwaniach znajdziemy sprzęt o dobre 10 procent tańszy. Wady? Według mnie jedna – Windows 7, którego nie lubię, bo jest nieintuicyjny i zadaje kilkanaście nieważnych pytań na godzinę. Ale to już nie jest wina Sony.



Surowy wygląd? I bardzo dobrze.
Zwłaszcza gdy idzie w parze z solidnym wykonaniem i przyzwoitą ceną



Kawiarnia Naukowa ZAPRASZA NA DYSKUSJĘ

„ROMANTYCZNE ŻYCIE NIETOPERZY” CZYLI JAK TO SIĘ ROBI PO CIEMKU?

Czy latający ssak może być w ciąży? Czy karmi swoje młode, wisząc do góry nogami? Dlaczego nietoperze pojawiają się latem na strychach naszych domów i co tam właściwie robią? W jaki sposób samice nietoperzy wybierają najatrakcyjniejszych amantów po ciemku? Na te i podobne pytania odpowie w czasie majowego spotkania doktor Maciej Fuszara z Centrum Ekologicznego PAN

Spotkanie Kawiarni Naukowej – 16 maja 2011 r. o godz. 18
Skwer – Filia Centrum Artystycznego „Fabryka Trzciny”, ul. Krakowskie Przedmieście 60a, Warszawa
Wstęp wolny

Technologia bliższa ciała

Co dziś na siebie włożyć? Ciuch zmieniający kolor, zasilający prądem iPod'a, zabijający bakterie - na śmierć! czy ten, który potrafi zaparzyć kawę i pozwala zatelefonować?

MAGDALENA TOMKOWICZ

No dobrze, z tą kawą to przesada (jeszcze). Jednak nie do końca. Są już ubrania, które co prawda nie doprowadzają do stanu wrzenia, ale podgrzewają, i nie wodę, lecz człowieka, a to przecież dopiero początek. Pomysł, aby odzież poza okrywaniem pełniła także inne funkcje, nie jest nowy, ale dopiero niedawny rozwój nanotechnologii pozwolił realizować go na szeroką skalę. Włókna przewodzące prąd, sensory, ultracienkie elastyczne panele słoneczne, mikroskopijne ogniwa energetyczne, tkaniny bakteriobójcze - to tylko niektóre z innowacji już dostępnych lub właśnie opracowywanych w laboratoriach.

Ciepło i bezpiecznie

Ogrzewacze z węglowych nanorurek stosuje w swoich kurtkach i butach producent odzieży sportowej Columbia. W najbardziej mroźny dzień zapewniają ciepło nawet przez sześć godzin. Baterie ładuje się przez port USB lub z gniazdka elektrycznego. Z kolei w sportowe skarpetki i bieliznę wplatane są chroniące przed bakteriami nanowłókna srebra. Na razie cel - całkowita eliminacja zapachu potu - nie został osiągnięty, bo za woń odpowiadają nie tylko drobnoustroje. Zastosowanie bakteriobójczego srebra w odzieży codziennej budzi ponadto kontrowersje, bo zagraża też tej florze bakteryjnej, która jest dla człowieka korzystna. Profesor Juan Hinestroza z Textiles Nanotechnology Laboratory w Cornell University College of Human Ecology widzi jednak

przyszłość nanosrebrnych włókien i powłok w odzieży medycznej lub gastronomii, gdzie eliminacja zarazków to konieczność.

Ultracienkie włókna optyczne i elektryczne wplecione w tkaninę bielizny służą jako czujniki monitorujące organizm: pracę serca, temperaturę, ciśnienie, postawę, dynamikę ruchu, aktywność mózgu czy odczyn skóry. Na zbudowanych przez Zephyr Technology rozwiązaniach BioHarness i mHealth opiera się działanie koszulki treningowej NuMetrex. Transmitter przesyła zebrane z tkaniny dane o pulsie do zsynchronizowanego zegarka, telefonu, bieżni albo roweru treningowego. Z analogicznych metod kontroli organizmu korzystają drużyny sportowe i ratownicy, strażacy i astronauty.

Podobne rozwiązania wkraczają także do ochrony zdrowia. Ubrany w specjalną bieliznę lub dres chory może pozostawać pod ciągłą obserwacją, przebywając we własnym domu. Mimo wciąż sporych kosztów rozwiązanie takie może okazać się bardziej opłacalne niż hospitalizacja.

Ponieważ zwykły upadek może być dla starszej osoby groźny w skutkach, niejaki Robert Miller opracował SmartSlippers - prawdziwe e-kapcie, które w razie zagrożenia same wezwą pomoc. Są w nich czujniki śledzące nacisk, równowagę i prędkość chodu. Kiedy zarejestrują odchylenie od normy lub upadek, alarmują opiekunów albo lekarza, dodatkowo pokazując na planie domu miejsce, w którym doszło do wypadku.



Sukienka, która elektryzuje nie tylko panów, ale i podłączoną przez USB komórkę. I gogle, przez które widać więcej niż stok (lub sukienkę)

Bronią i bawią

Prawdziwa zabawa zaczyna się, gdy elektronika pojawia się w zwykłych (pozornie) codziennych ubraniach. W zeszłym roku studentka profesora Hinestrozy Abbey Liebman podbiła serca geeków prototypem słonecznej sukienki-ładowarki. Przewodząca prąd bawełna przechwytytuje energię z ozdabiających suknię wstęg paneli słonecznych i kieruje ją do skrytego w talii portu USB, z którego można choćby naładować komórkę. Profesor Yu Cui z Uniwersytetu w Stanford skomponował barwnik do tkanin, który także przewodzi prąd.

Można go wykorzystać do tworzenia zintegrowanych z odzieżą baterii litowo-jonowych, idealnych do zasilania gadżetów.

Już dostępne i rozchwytywane gogle narciarskie Transcend, stworzone przez Recon i Zeal Optics, wyposażone są w GPS oraz kolorowy wyświetlacz LCD. Niczym w kokpicie samolotu pozwalają śledzić narciarzowi jego położenie, prędkość lotu, wysokość i nachylenie stoku, przebyty dystans w pionie i poziomie, temperaturę i godzinę. Przez złącze USB można wpisać do internetowej bazy historię zjazdów. Mimo ceny 500 dolarów zeszłoroczny model rozszedł się jak ciepłe bułeczki.

W czołówce futurystycznych badań znajdują się jak zawsze laboratoria wojskowe. Od 2003 roku US Army Research Office próbuje skonstruować płynną zbroję wykorzystującą ciecz ferromagnetyczną, która w ciągu tysięcznego ułamka sekundy potrafi stwardnieć na mur, by po chwili znów się rozprężyć. Naukowcy dążą do stworzenia pancerza, który można nosić jak zwykłe ubranie, ale który w razie potrzeby odbije pociski niczym ściana wiśniowe pestki. Z kolektaniny z symulujących mięśnie nanowłókien będą mogły, jak zapewnia Jean-Louis DeGay z Soldier Systems Centre, zwiększyć siłę żołnierza nawet o 35 procent.

Czy technologia zasztyta w ubraniach wpłynie również na świat mody? Już dziś powstają wizje materiałów zmieniających kolor. Idziesz do pracy w białej koszuli, a wieczorem wciskasz guzik, przez powierzchnię tkaniny przechodzi pole elektromagnetyczne i na kolację idziesz w czarnej, zielonej lub fioletowej.

Wygląda na to, że przemysł odzieżowy czeka kolorowa przyszłość.

for. Materiały prasowe, Robert Barker/Cornell University Photography



ORGANIZATOR OGÓLNOPOLSKIEJ AKCJI
PROFILAKTYCZNO - EDUKACYJNEJ



zaprasza na

BEZPŁATNE BADANIA I KONSULTACJE

17 MAJA (wtorek) - WARSZAWA

20 i 21 MAJA (piątek i sobota) - KRAKÓW

24 MAJA (wtorek) - BIAŁYSTOK

26 MAJA (czwartek) - POZNAŃ

W Diabetologicznej Poradni Servier w godzinach od 10:00 do 18:00*, będzie można bezpłatnie wykonać badania poziomu glukozy i cholesterolu we krwi, dokonać pomiaru ciśnienia tętniczego i BMI (wskaźnika masy ciała). W przypadku stwierdzenia nieprawidłowości zapewniamy bezpłatną konsultację lekarską.

Wszyscy, którzy zechcą spróbować szczęścia będą mogli zagrać w Koło Fortuny - Koło Zdrowia.

Zabawa edukacyjna, z niespodziankami do wygrania, o każdej pełnej godzinie!

Badaniu powinny poddać się osoby:

- po 45 roku życia
- cierpiące na nadwagę lub otyłość
- ze stwierdzonymi w przeszłości zaburzeniami gospodarki węglowodanowej
- z wysokim poziomem cholesterolu lub trójglicerydów
- chorujące na nadciśnienie tętnicze lub inne choroby serca
- których rodzice lub rodzeństwo chorują na cukrzycę typu 2
- kobiety, które urodziły dziecko ważące powyżej 4 kg

POSTAW NA WIEDZĘ, WYGRAJ WALKĘ Z CUKRZYCĄ!

Szczegółowe informacje na stronie www.wygrajcukrzyca.pl



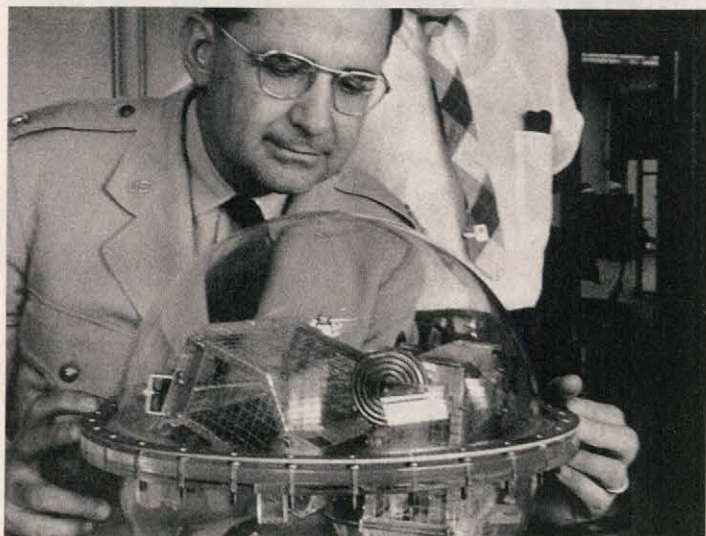
*Rejestracja pacjentów i wydawanie numerków rozpoczyna się o godz. 10:00. Diabetologiczna Poradnia Servier może przyjąć ograniczoną ilość osób.

TEŻ PYTANIE



Zaskakujących pytań ciąg dalszy! Czekamy na więcej! Jeśli coś ciągle cię nurtuje, pisz na adres [nauka@przekroj.pl](mailto: nauka@przekroj.pl). Co tydzień przyznajemy jedną nagrodę

URSZULA DĄBROWSKA



1. Skąd się wzięły prawa Murphy'ego?

„Jeśli coś może się nie udać, na pewno tak się stanie” – to powiedzenie (a na pewno myśl w nim ukryta) jest stare jak świat. Od kilkudziesięciu lat większość takich życiowych prawd znamy pod nazwą „prawa Murphy'ego”. I choć sam kapitan Edward A. Murphy nie żyje od 1990 roku, zbiór maksym wciąż się powiększa. Wszystko zaczęło się od badań prowadzonych w czasie zimnej wojny w bazie Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w Kalifornii. Lekarz John Paul Stapp (na zdjęciu powyżej), zwany najszybszym człowiekiem na świecie, przeprowadzał tam (głównie na sobie) testy, które miały określić, jakie przeciążenia towarzyszące prędkości wytrzyma ludzkie ciało. Jednym z głównych współpracowników Stappa był inżynier Murphy. Po nieudanych eks-

perymentach Murphy miał powiedzieć o swoim asystencie, że „jeśli ma jakąkolwiek możliwość zrobienia błędu, to na pewno go popełni”. Jednak sławę przyniosła Murphy'emu dopiero konferencja prasowa, na której Stapp chwalił się swoimi osiągnięciami. Zapytany o to, jak to możliwe, że w czasie testów nikt nie ucierpiał, odpowiedział, że wystarczyło stosować się do praw Murphy'ego. I zawsze przewidywać najgorszy możliwy scenariusz wydarzeń. Może brzmiało to mało entuzjastycznie, ale za to jest skuteczne. Dowodzi tego światowa kariera praw Murphy'ego. I nie trzeba wcale znać ich pochodzenia, by wiedzieć, że kanapka spada na dywan posmarowaną stroną, a samochody na pasie jezdni, po którym jedziesz, przemieszczają się wolniej niż te na sąsiednim.

MAREK RACZKOWSKI



2. Czy ryby bywają spragnione?

Oczywiście. Przynajmniej te, które żyją w morzach i oceanach. Każde żywe stworzenie na Ziemi potrzebuje odpowiedniej ilości wody do prawidłowego funkcjonowania. Gdy jest jej za mało, w organizmie uruchamiają się mechanizmy, które zapobiegają odwodnieniu. Człowiek zaczyna odczuwać pragnienie i dręczy się samą myślą o szklance lemoniady. Czy w rybich mózgach pojawiają się podobne marzenia? Tego nie wiemy. Ale pewne jest to, że ryby uzupełniają poziom wody w swoim ciele, gdy tego potrzebują. W słonych akwariach nie jest to takie łatwe. Dla ludzi – wręcz niemożliwe. My nie umiemy efektywnie usuwać soli, którą pijemy, pijąc morską wodę. Dlatego rozbitkowie dryfujący na tratwach umierają z pragnienia, mimo że zewsząd otacza ich ocean.

Rybie skrzela są wyposażone w specjalne komórki solne, których podstawowym zadaniem jest usuwanie nadmiaru minerałów, więc ryby piją do woli, praktycznie cały czas. Gatunki słodkowodne mają inny problem – w rzecze, stawie czy jeziorze stężenie wody jest dużo wyższe niż w organizmie rybki (hipotoniczne, jak mówią biologzy). Natura dąży do wyrównania różnicy, więc woda wdziera się do komórek przez błonę skrzeli i skórę. Aby nie pęknąć, ryby muszą ją usuwać. Dlatego nic już nie piją, tylko dużo siusiąją.

3. Jak działa stetoskop?

Pozwala usłyszeć, co się dzieje wewnątrz ciała (głównie szum oddychu i bicie serca). Zanim powstał ponad 150 lat temu, lekarze w tym celu przykładali ucho do ciała chorego. Było to jednak mało wygodne dla lekarza i dość kłopotliwe dla pacjenta. Badanie stało się dużo bardziej komfortowe (dla obu stron) po wynalezieniu stetoskopu. Jego działanie opiera się na tym, że dźwięk dobrze rozchodzi się w różnych ośrodkach. Odgłosy z głębi ciała zbiera jedno z dwóch zakończeń stetoskopu – gumowa membrana lub metalowy lejek. Ten pierwszy element wzmacnia fale rozchodzące się w powietrzu, drugi świetnie przewodzi niskie tony, które wprawiają skórę w drżanie. Przez tunel powietrza w elastycznej rurce dźwięki trafiają do metalowych słuchawek. Dalej fale poruszają powietrzem w uchu lekarza, które z kolei oddziałuje na membranę bębniaka. Dzięki stetoskopowi odgłosy z głębi ciała są wzmocnione i wyraźne, bo nie rozpraszają się w przestrzeni gabinetu lekarskiego.



Nasze nagrody:

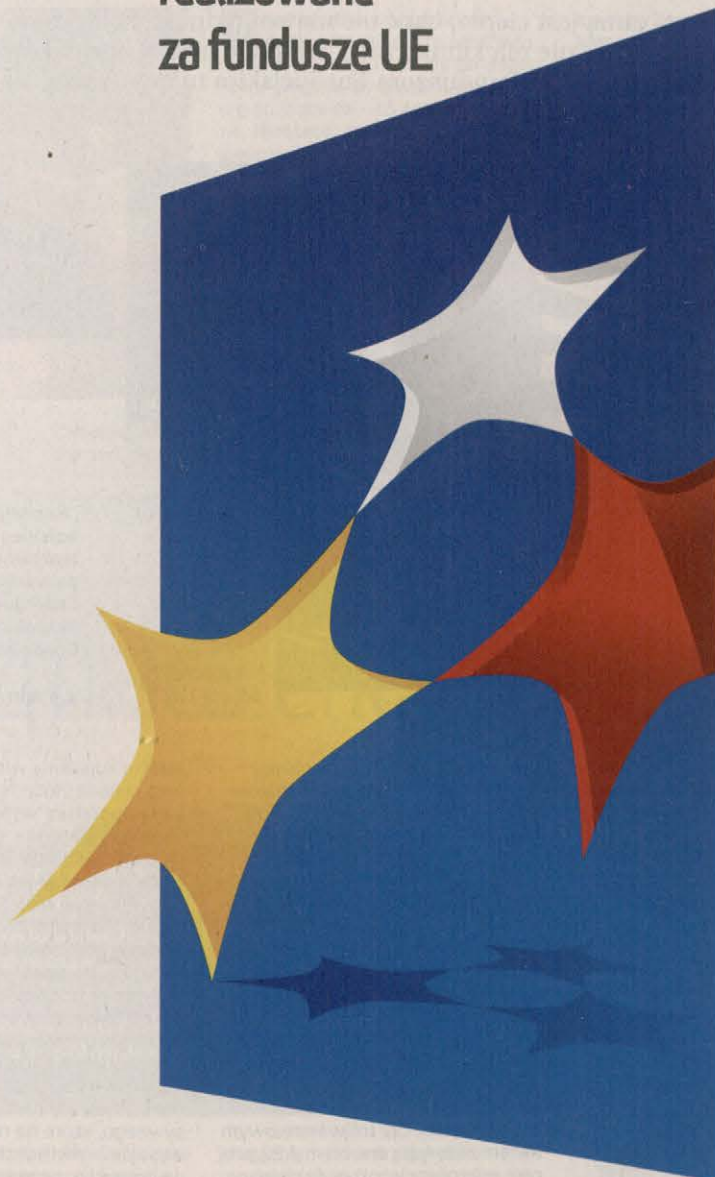
Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespoleństwo nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak;
Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa



PIĘĆDZIESIĄTKA „PRZEKROJU”



Odkrywamy projekty realizowane za fundusze UE



Ekoinnowacje

Katowice

– pasywne domy

Puławy

– zdrowa żywność

Grzmiąca

– elektrociepłownia biogazowa

Augustów

– elektrownia wodna

Jarogniew-Mołtowo

– elektrownia wiatrowa

Poznań

– zielone osiedle

Ełk

– ekoedukacja

Warszawa

– ekologiczny transport bez barier

Lublin

– ekologiczne paliwo przyszłości

Uniejów

– baseny termalne



NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI
dla rozwoju Polski



MINISTERSTWO ROZWOJU REGIONALNEGO

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ ROZWOJU REGIONALNEGO



Projekt uzyskał dofinansowanie w konkursie dotacji organizowanym przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego, współfinansowanym ze środków Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego Pomoc Techniczna.

Otwórzmy się na Fundusze Europejskie

Narodową cechą Polaków jest narzekanie. Najczęściej na brak pieniędzy. I na to, że nic ciekawego, innowacyjnego się u nas nie dzieje. Czas z tym skończyć! Bo przecież się dzieje, i to wiele! A wszystko dzięki Funduszom Europejskim.

Pieniądze na rozwój, ochronę środowiska, naukę i innowacyjne technologie płyną do nas szerokim strumieniem. Sięgają po nie zarówno potężne korporacje, jak i zwykli ludzie. I „Przekrój”, zamiast marudzić i narzekać, zamierza to czytelnikom pokazać.

Rozpoczynamy cykl „Pięćdziesiątka »Przekroju«”. W pięciu kolejnych dodatkach dowiedzimy, że dzięki Funduszom Europejskim Polska pięknieje, technologie się rozwijają, że wszyscy na tym zyskujemy. Opiszemy innowacyjne projekty, które mają szansę zmienić oblicze naszego kraju, zwiększyć konkurencyjność polskich firm na arenie międzynarodowej, stworzyć miejsca pracy, ale to czytelnicy „Przekroju” za pośrednictwem strony internetowej (www.50przekroju.pl) wybiorą te, które uważają za najlepsze i najciekawsze. Zaprezentujemy je w szóstym dodatku.

Na początek ekologia. Zielona energia, czyste powietrze, uprawy, w których nie stosuje się sztucznych nawozów, samochody, które nie emitują spalin. Dzięki Funduszom Europejskim w Lublinie powstaje najnowocześniejsze paliwo na świecie, na Politechnice Warszawskiej rewolucyjny wózek inwalidzki, w Katowicach budynki, które same się ogrzewają, a na Nowogrodzkiej w Warszawie – artykuły, które to wszystko opisują.

Milej lektury.

MARCELINA SZUMER

A jeśli dom będę miał, to koniecznie pasywny

Czyli taki, w którym zimą jest ciepło, choć nie ma ani jednego kaloryfera, a latem chłodno, mimo że nie ma klimatyzacji. Na razie takich budynków jest w Polsce tylko kilka, ale dzięki Funduszom Europejskim mamy szansę stać się zagłębiem ekologicznego budownictwa



Tytuł projektu: „Rozwój pierwszego polskiego klastra budownictwa pasywnego i energooszczędnego”
Program: Innowacyjna Gospodarka
Wysokość dotacji UE: 4,9 mln zł

Potężne kopalnie węgla kamiennego i równie potężny poziom emisji do atmosfery jego dwutlenku trudno uznać za przyjazne środowisku. Dlatego Śląsk nikomu nie kojarzył się z ekologią. Niedługo jednak może się to zmienić – dzięki środkom z Funduszy Europejskich, za które ma się tam rozwijać ekologiczne budownictwo.

Chodzi o projekt o nazwie „Rozwój pierwszego polskiego klastra budownictwa pasywnego i energooszczędnego”. Jego pomysłodawcy – Górnośląski Park Przemysłowy z Katowic i kilkanaście firm zajmujących się energooszczędnymi technologiami w budownictwie – dzięki dotacji mogli kupić sprzęt i wyposażenie, o jakich dotąd nawet im się nie śniło. Uczestniczą też w branżowych szkoleniach specjalistycznych i wspólnie opracowują rozwiązania, dzięki którym w przyszłości większość powstających w Polsce budynków będzie energooszczędna. A te muszą takie być, bo wymagają tego od nas unijne dyrektywy. – Według wspólnotowych przepisów w 2018 roku każdy budynek będzie musiał spełniać normy

pasywności – mówi w rozmowie z „Przekrojem” Wojciech Michałowski, animator klastra. – To znaczy, że zużycie energii w takim domu czy gmachu użyteczności publicznej nie będzie mogło być większe niż 15 kilowatów na metr kwadratowy rocznie.

Michałowski wyjaśnia, że takie normy będą spełniały tylko te budynki, które powstały z wykorzystaniem nowoczesnych technologii i materiałów. Do ich ogrzewania bowiem wykorzystywane jest ciepło promieni słonecznych, a dzięki specjalnym technologiom budowy, wentylacji czy trójwarstwowym oknom zużywają one niemal 84 procent energii mniej niż wybudowane w tradycyjny sposób. Ogrzewają je też źródła geotermalne.

– W Polsce budownictwo pasywne prawie nie istnieje. Chcemy to zmienić – wyjaśnia Michałowski. Tłumaczy, że dzięki dotacji przedstawiciele klastra – choć właściwie są konkurentami – mogą pracować razem w nowoczesnych biurach i mają nieograniczony dostęp do sprzętu. – Za środki uzyskane z Funduszy Europejskich na użytek

klastra kupiliśmy wiertnicę za półtora miliona złotych, w światowej klasy aparaturę wyposażyliśmy też nasze laboratoria – cieszy się Wojciech Michałowski i przekonuje, że te inwestycje już teraz przyniosą wymierne rezultaty. – Działamy razem. Dla osób, które są zainteresowane postawieniem pasywnego budynku, to gigantyczne ułatwienie. Nie muszą oddzielnie szukać firmy od okien, elewacji, ogrzewania. Na miejscu mają wszystkich specjalistów z doskonałym sprzętem.

Jak twierdzi, to pozwoli również obniżyć koszty budownictwa pasywnego, które na razie są dość wysokie. – Ale koszty, przynajmniej na początku, generowało samo realizowanie projektu unijnego – wyjaśnia Michałowski. – Rozpatrywanie wniosku o płatność trwało długo, więc trzeba było wyłożyć własne pieniądze. Ale opłaciło się wytrwale czytać dokumentację projektową – śmieje się.

Chętnym, którzy też chcieliby sięgnąć po dotację z Funduszy Europejskich, doradza cierpliwość. – Przygotowanie dobrego wniosku wymaga czasu.

Zdrowy smak innowacji

Owoce, warzywa i inne ekologiczne produkty z Lubelszczyzny mają szansę na międzynarodową karierę. Nie dość, że są smaczne i zdrowe, to jeszcze na ich promocję zdobyto pokaźne środki z Programu Rozwój Polski Wschodniej



Świeże jajka, soczyste pomidory, pełnoziarniste pieczywo i wędliny, których nikt nie nafaszerował chemią, by dłużej nadawały się do jedzenia – to śniadanie idealne. Niestety, na razie można takie zjeść wyłącznie podczas wakacji na wsi. Choć Polacy coraz częściej zwracają uwagę na to, by produkty, które kupują, były zdrowe i naturalne, wybór ekologicznej żywności w sklepach wciąż nie jest oszałamiający. Dzięki Funduszom Europejskim może się to zmienić. Naukowcy, przedsiębiorcy i producenci ekologicznej żywności

z województw lubelskiego i podkarpackiego, którzy stworzyli branżowy klastrowy, dostali ze środków Funduszy Europejskich 2,25 miliona złotych na projekt „Rozwój klastra dolina ekologicznej żywności”. Do końca 2013 roku będą razem rozwijać rynek i promować ekologiczne produkty z Polski Wschodniej w kraju i za granicą, a także poznawać nowoczesne metody produkcji zdrowej żywności.

– W ramach projektu realizujemy bardzo różne działania – mówi doktor inżynier Krzysztof Jończyk z Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach, koordynator projektu. – Uczestnicy klastra na przykład biorą udział w międzynarodowych targach zdrowej żywności, nawiązują branżowe kontakty, mogą liczyć na promocję swoich produktów między

innymi w katalogach, które wydajemy, i na stronie internetowej poświęconej ekologicznej żywności (www.dolinaeko.pl).

Za pieniądze z Funduszy organizowane są też dla nich szkolenia z pozyskiwania środków na produkcję i promocję ekologicznej żywności oraz – co chyba najważniejsze – spotkania z potencjalnymi konsumentami, tak zwane ekofora. – Przekonujemy lokalne władze, że warto inwestować w ekologiczne uprawy, a uczniów – bo część spotkań odbywa się w szkołach – że zamiast batonów mogą zjeść zdrowe chipsy jabłkowe. Na degustacjach zawsze jest szaleństwo – śmieje się doktor Jończyk.

Koordinator klastra twierdzi, że przygotowanie wniosku i realizacja projektu finansowanego z Funduszy Europejskich to ciężka (z każdego wydatku trzeba się rozliczyć), ale opłacalna praca. – Konsumentci będą mieli większy wybór, producenci zaś rynek zbytu i nowe technologie. Nastąpi też wzrost zatrudnienia, bo jeśli popyt na zdrową żywność wzrośnie, firmy będą przyjmować nowych pracowników – tłumaczy Jończyk. A nam już ślinka cieknie...

Grzmiąca energia

Właściwie energia – i to ekologiczna – w Grzmiącej. Bo właśnie tam dzięki Funduszom Europejskim powstała nowoczesna biogazowa elektrociepłownia. Zapewniła miejscowości nie tylko ekologiczną energię, ale też nowe miejsca pracy

Biogazownie, czyli instalacje produkujące ekologiczną energię z fermentującej biomasy: obornika, odpadów zielonych czy kukurydzy, są w Polsce coraz częściej. Niektóre mają ich aż cztery i pół tysiąca. Dzięki nim nie tylko dysponują tanią, czystą energią produkowaną z łatwo dostępnego surowca, ale także dbają o zminimalizowanie emisji gazów – głównie szkodliwego metanu – do atmosfery.

Polski rząd postanowił pójść w ślady naszych zachodnich sąsiadów.

W ubiegłym roku przyjął dokument, zgodnie z którym do 2020 roku w każdej gminie powstanie biogazownia. Odległa przyszłość? Tak, ale nie dla wszystkich. Pewna mała miejscowość o głośniejszym nazwie Grzmiąca (w województwie zachodniopomorskim) dzięki dofinansowaniu z Funduszy Europejskich, z Programu Infrastruktura i Środowisko, już w styczniu uruchomiła własną biogazownię. – Wszyscy jesteśmy rolnikami, mamy gospodarstwa. Gdy dowiedzieliśmy się o możliwo-

Tytuł projektu: „Budowa elektrociepłowni biogazowej o mocy 1,5 MW w miejscowości Grzmiąca”
Program: Infrastruktura i Środowisko
Wysokość dotacji UE: 10 mln zł

ści produkowania energii z tego, co i tak zalega na naszych polach, postanowiliśmy działać – tłumaczy Arkadiusz Witowski, prezes spółki Ekoenergia, która otrzymała dotację. – Trzeba było uzbroić się w cierpliwość, ale było warto – wspomina składanie wniosku.

Teraz właśnie rozlicza projekt, a dzięki biogazowni zarabia zarówno

spółka (sprzedaje energię produkowaną w elektrociepłowni), jak i okoliczni mieszkańcy. – Kupujemy od nich surowiec. No i stworzyliśmy trzy etaty do obsługi firmy – cieszy się Witowski.

Co więcej, wkrótce ciepło powstające w biogazowni będzie ogrzewać sąsiednie obiekty, a w przyszłości całą miejscowość.

Wodna innowacja

Pewnemu człowiekowi w Augustowie woda daje energię. Sam załatwił pozwolenia, wystąpił o dotację i za pieniądze z Funduszy Europejskich zbudował elektrownię wodną



Tytuł projektu: **„Mała elektrownia wodna wraz z linią kablową”**
Program: **Regionalny Program Operacyjny Województwa Podlaskiego na lata 2007–2013**

Wysokość dotacji UE: **400 tys. zł**

Mariusz Żukowski nikogo nie zatrudnia. Do obsługi elektrowni wodnej na rzece Supraśl wystarcza mu Internet. – W komputerze mam specjalny program. Łączę się z siecią, włączam go, ustawiam odpowiednie parametry, wyłączam – mówi w rozmowie z „Przekrojem”.

Choć Żukowski to z wykształcenia inżynier (spec od energii), nie przypuszczał, że kiedyś będzie na własną rękę produkować prąd. – Nawet nie pamiętam, kiedy dokładnie pojawił się pomysł zbudowania własnej elektrowni wodnej. Chyba podczas rozmowy ze znajomymi – zastanawia się.

Do realizacji projektu zabrał się wkrótce po tym brzemennym w skutki spotkaniu.

– Zaczęłem od zwiadzenia okolicy, by znaleźć odpowiednie miejsce na rzece. Takie, gdzie jest spadek, spiętrzenie wody – wyjaśnia.

Gdy już znalazł, wydzierżawił je od gminy, wystąpił o ekspertyzy środowiskowe (by sprawdzić, czy inwestycja nie zaszkodzi przyrodzie), inne pozwolenia i kredyt. Już miał zaczynać, gdy przeczytał o Funduszach Europejskich dla przedsiębiorców. – Pomyślałem, że skoro robię coś takiego, a do tego w grę wchodzi odnawialne źródła

energii, to może warto postarać się o dotację.

Wniosek napisała mu specjalizująca się w tym firma (Żukowski chciał, by zajęli się tym profesjonalści). – Łatwo nie było, okazało się, że pozwolenia, które już zdobyłem, spełniały kryteria polskie, ale nie unijne. Część trzeba było załatwić od początku – opowiada. I cierpliwie załatwiał. – Oj, nabiegałem się, nabiegałem – śmieje się teraz.

Bieganie się opłaciło, fundusze, które otrzymał – 400 tysięcy złotych – pokryły dokładnie połowę inwestycji. Ze spłatą reszty, na którą wziął kredyt, też nie powinno być

problemu. – Elektrownia pracuje od listopada ubiegłego roku, prąd, który wytwarza, sprzedaje operatorowi energetycznemu – wyjaśnia.

Mariusz Żukowski chce dalej inwestować. – Znalazłem już kilka lokalizacji dla nowych elektrowni, jestem w trakcie zdobywania pozwoleń – cieszy się przedsiębiorca i zapowiada, że tym razem też wystąpi o dotację z Funduszy Europejskich. Co radzi innym, którzy chcieliby produkować zieloną energię? – Spiesz się! Dobrych miejsc ubywa, bo produkowanie energii z wody staje się coraz popularniejsze.

Zielony Poznań

A właściwie – zielone osiedle w Poznaniu. W jednej z dzielnic stolicy Wielkopolski dzięki Funduszom Europejskim powstaje innowacyjny kompleks mieszkaniowy, który w całości będzie ogrzewany ekologiczną energią

Gdy ktoś w Polsce używa określenia „zielone osiedle”, zazwyczaj ma na myśli... kolor budynków (albo bliskie sąsiedztwo parku), a nie to, czy jest ono przyjazne środowisku. Osiedle, które właśnie powstaje na poznańskich Podolanach, na pierwszy rzut oka niczym się nie różni od innych. W rzeczywistości będzie to jedno z najbardziej innowacyjnych i przyjaznych przyrodzie osiedli mieszkaniowych w Polsce. Ba! W całej Europie. – Osiedle nie będzie zasilane prądem, gazem czy węglem, ale ciepłem ziemi – wyjaśnia Katarzyna Nawrocka, szefowa

spółki Termy Podolańskie, która uzyskała środki z Funduszy Europejskich na to przedsięwzięcie. Nawrocka wyjaśnia, że choć ogrzewanie termalne powoli zyskuje popularność, dotąd geotermia nie była jeszcze wykorzystywana na osiedlach. Jak to działa? Ciepło z ziemi jest przetwarzane przez specjalne pompy i wtłaczane do mieszkań. Latem – odwrotnie, ciepło z budynków będzie oddawane ziemi, więc będzie w nich chłodno i przyjemnie.

Dla mieszkańców takie rozwiązanie oznacza między innymi niższe rachunki za prąd i ciepłą

wodę, bo inteligentny system sam dostosowuje się do potrzeb energetycznych osiedla. Zyska też środowisko naturalne, bo w przeciwieństwie do tradycyjnych źródeł

energii dzięki wykorzystaniu nowej technologii emisja dwutlenku węgla do atmosfery będzie zerowa. – Gdyby nie dotacja, inwestycja nie byłaby możliwa – przekonują inwestorzy.

Tytuł projektu: **„System grzewczy z odnawialnych źródeł energii z instalacją przesyłową przy użyciu pomp ciepła typu Solanka/Woda dla osiedla Podolany w Poznaniu”**
Program: **Wielkopolski Regionalny Program Operacyjny na lata 2007–2013**

Wysokość dotacji UE: **8,8 mln zł**

Ekologia w Elku

A właściwie – edukacja ekologiczna. Dzięki Funduszom Europejskim powstało tam specjalne centrum, w którym na własne oczy można zobaczyć, jak działają odnawialne technologie



Tytuł projektu: **„Zastosowanie odnawialnych źródeł energii na potrzeby ogrzewania budynku Centrum Edukacji Ekologicznej w Elku”**
Program: **Regionalny Program Operacyjny Warmii i Mazur**

Wysokość dotacji UE: **469,97 tys. zł**

Gmina Miejska w Elku pozyskała dofinansowanie na projekt, dzięki któremu mieszkańców regionu zachęca się do korzystania z energii odnawialnej do ogrzewania i zasilania gospodarstw domowych. – Latem oprowadzamy dwie–trzy wycieczki tygodniowo. Wszyscy zadają mnóstwo pytań, chcą wiedzieć, czy warto samemu zamontować solary, pompy ciepła lub inne innowacyjne rozwiązania służące pozyskiwaniu energii ze źródeł odnawialnych – mówi Joanna Sochoń z Centrum Edukacji Ekologicznej. Zwiedzających przekonać powinien już sam fakt, że budynek centrum jest samowystarczalny energetycznie. Ogrzewają go kolektory słoneczne i pompy ciepła. – Wszystko to było możliwe dzięki temu, że Urząd Miasta Elk przygotował dobry projekt. Bez dofinansowania z Funduszy Europejskich trudno byłoby zrealizować podobne przedsięwzięcie – dodaje Monika Mużyło z CEE.

Również energia elektryczna niezbędna do zasilania obiektu centrum i urządzeń technologicznych jest produkowana ze źródeł odnawialnych (energia słońca i wiatru). Siłownia słoneczna składa się z 16 paneli o łącznej mocy 3,2 kilowata zamontowanych na systemie do aktywnego śledzenia słońca. Solary są dodatkowo wspomagane siłownią wiatrową.

– Ten system służy nam do celów demonstracyjnych i edukacyjnych – tłumaczy Sochoń. Cieszy ją docieklivość uczniów, którzy odwiedzają centrum. – Zadają bardzo konkretne pytania, na przykład jaką wysokość ma wiatrak albo co robimy z nadmiarem energii – opowiada i dodaje, że centrum służy też radą osobom, które chciałyby zainwestować w ekologiczne technologie: – Ostatnio odwiedziło nas kilku właścicieli gospodarstw agroturystycznych, którzy zastanawiają się nad podobną inwestycją.

Pomyślne wiatry w Zachodniopomorskiem

Nikt nie lubi rzucania słów na wiatr. Ale rzucanie pieniędzy na wiatr to zupełnie co innego. Unia Europejska właśnie to zrobiła i dzięki jej środkom w Polsce powstała kolejna elektrownia wiatrowa

Nasi zachodni sąsiedzi już dawno poculi energetyczny powiew i zainwestowali w zieloną energię wiatrową. Podczas gdy u nas wiatraków wciąż jest jak na lekarstwo, Niemcy są światową potęgą w tej dziedzinie, bo produkują niemal 40 procent energii wiatrowej w skali globu! I choć naukowcy twierdzą, że efektywność stawiania takich elektrowni zależy od tego, jak wieje w danym miejscu (a u Niemców akurat wieje nieźle), Polska nie po-

winna zostawać w tyle. Zwłaszcza że według unijnych przepisów już w 2020 roku co najmniej 15 procent wykorzystywanej przez nas energii powinno pochodzić z ekologicznych źródeł.

Niewykonalne? Zbyt kosztowne? Nie, pod warunkiem że uda się zdobyć dotację z Funduszy Europejskich. W ubiegłym roku projektowi „Budowa farmy wiatrowej Jarogniew–Moltowo” przyznano 40 milionów złotych dofinansowania z Funduszy Europejskich.

Dzięki dotacji w gminie Gościno powstała farma wiatrowa. – Na obecnym etapie projekt został zakończony i spółka prowadzi eksploatację farmy – informują przedstawiciele firmy Beta na swojej stronie internetowej i dodają,

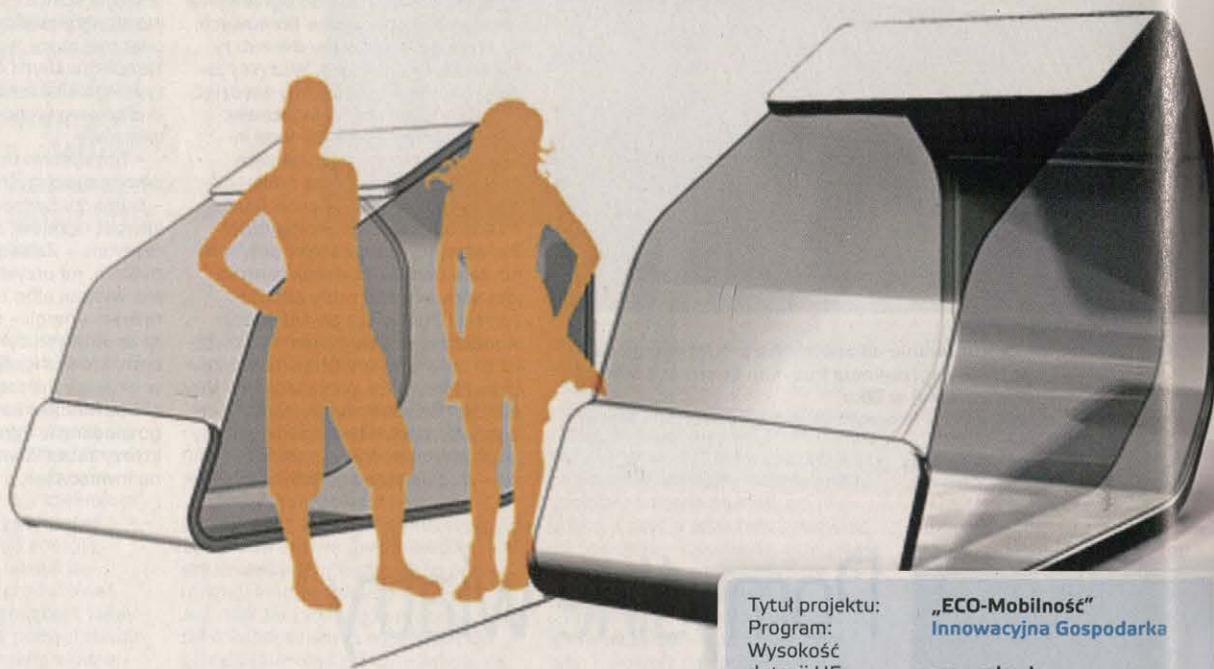
że działanie na rzecz ochrony środowiska traktują priorytetowo.

– Farmy wiatrowe wychodzą na przeciw rosnącym wymogom nie tylko ekologicznym, ale i ekonomicznym – wyjaśniają, a z opracowań naukowych wynika, że nie rzucają słów na wiatr.

Wśród głównych zalet energii wiatrowej wymienia się bowiem między innymi stały koszt uzyskiwanej energii, minimalne straty jej przesyłania, oszczędności związane z tym, że elektrownia wiatrowa nie produkuje odpadów, niskie koszty obsługi i eksploatacji, a nawet... oszczędność miejsca, bo w przeciwieństwie do tradycyjnych elektrowni teryny w bliskim sąsiedztwie wiatraków można wykorzystywać do celów rolniczych.

Transport bez barier

Wózek inwalidzki skonstruowany tak, że może pokonać schody; elektryczne ekologiczne samochody, które można prowadzić, nie zsiadając z wózka inwalidzkiego. To, co jeszcze niedawno pozostawało tylko w wyobraźni konstruktorów, dzięki Funduszom Europejskim właśnie staje się rzeczywistością



Tytuł projektu: „ECO-Mobilność”
Program: Innowacyjna Gospodarka
Wysokość dotacji UE: 23,4 mln zł

Wszystko dzięki realizowanemu na Wydziale Transportu Politechniki Warszawskiej projektowi „ECO-Mobilność”. Uczelnia i współpracujące z nią Politechnika Radomska, Warszawski Uniwersytet Medyczny oraz Uniwersytet Columbia z Nowego Jorku dostały na jego realizację ze środków Funduszy Europejskich z Programu Innowacyjna Gospodarka ponad 23,4 miliona złotych.

W ramach projektu naukowcy opracowują takie ekologiczne rozwiązania (zerowa emisja dwutlenku węgla do atmosfery), z których bez problemu będą mogły korzystać zarówno w pełni sprawne, jak i niepełnosprawne osoby. – Nie chodzi tylko o ludzi, którzy na przykład ucierpieli w wypadkach, ale też o starszych mających problemy z poruszaniem się – tłumaczy kierownik projektu, profesor doktor habilitowany inżynier Włodzisław Choromański. Wyjaśnia, że w Polsce już teraz jest pięć milionów takich osób. A będzie jeszcze więcej.

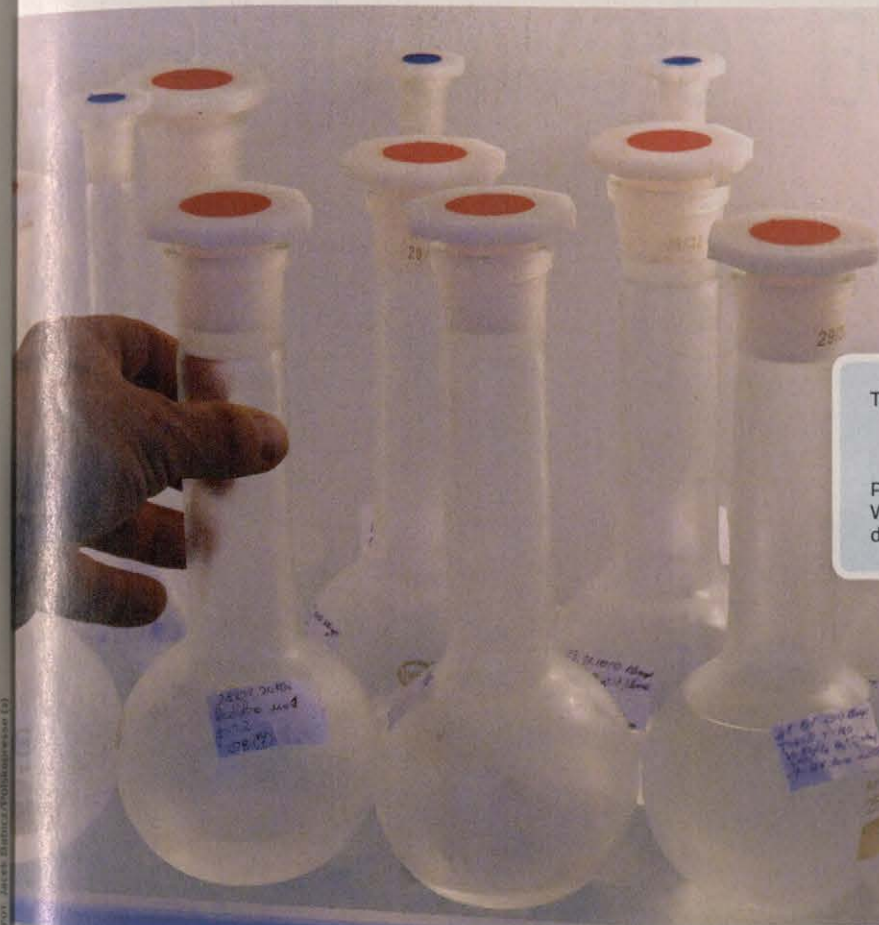
W ramach projektu „ECO-Mobilność” naukowcy pracują nad pięcioma zagadnieniami z zakresu ekologicznego transportu. Rozwiązania, które opatentują, od początku będą pomyślane tak, by uwzględniać potrzeby osób mających problemy z poruszaniem się. Na Politechnice Warszawskiej powstaje więc na przykład nowoczesny wózek inwalidzki, który będzie pokonywał

schody, krawężniki i inne pionowe przeszkody. Ruchome siedzisko umożliwi też na przykład sięgnięcie po przedmioty stojące wysoko na półce. – Takie wózki już istnieją, ale są bardzo drogie. Chcielibyśmy, by nasz był tańszy – wyjaśnia profesor Choromański.

Naukowcy dzięki Funduszom Europejskim pracują też nad elektrycznym autem, które będzie można prowadzić, nie zsiadając z wózka inwalidzkiego. Zmieszczą się w nim cztery osoby, a wjechać będą mogły tam, gdzie nie dotrze zwykły samochód (na przykład do parku narodowego). Kolejny pomysł to PRT (Personal Rapid Transport) – system samodzielnie obsługiwanych pojazdów z własną siecią szynową.

Zespół profesora Choromańskiego opracowuje też dwa innowacyjne rozwiązania dla osób z niedowładem kończyn. Veni-Prometeusz to mechatroniczny system wspomagania ruchu, który sam będzie wyczuwał, jak bardzo musi pomóc ludzkim mięśniom, by korzystająca z niego osoba (z dysfunkcją kończyn dolnych) mogła się poruszać. Drugi pomysł to stabilizator ortopedyczny, który wspomogłoby leczenie i rehabilitację złamanych kończyn.

Dzięki Funduszom Europejskim idee naukowców zaczynają się urzeczywistniać. W ramach projektu już są opracowywane technologie produkcji ich pomysłów.



Tytuł projektu: „Innowacyjna produkcja paliw syntetycznych z bioetanolu PKWiU 24.14.1 Węglowodory i ich pochodne”
Program: Innowacyjna Gospodarka
Wysokość dotacji UE: 22,2 mln zł



Lublin da popalić

I to ekologicznymi paliwami. Na produkcję syntetycznej benzyny przyszłości tamtejsi naukowcy i przedsiębiorcy dostali z Funduszy Europejskich ponad 22 miliony złotych

Nie wszystkim genialnym naukowcom dane jest opatentować swoje pomysły. Profesorowi Dobiesławowi Nazimkowi się udało. Na swoim macierzystym wydziale (Zakład Chemii Środowiskowej lubelskiego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej) opracował i opatentował nowatorską metodę syntezy metanolu z wody i dwutlenku węgla. Otrzymany w ten sposób metanol poddaje się dalszej obróbce. Powstaje syntetyczna ropa, a z niej benzyna. Też syntetyczna. I dzięki temu lepsza od tej, którą dziś wlewamy do baków. Nie dość, że nie zawiera siarki ani azotu, to jeszcze podczas jej produkcji powstaje energia, którą w przyszłości będzie można magazynować i wykorzystywać. Lada chwila będzie też można korzystać z lubel-

skiego paliwa. Profesor Nazimek przedstawił pomysł lokalnym inwestorom, którzy postanowili zainwestować w ekologiczną benzynę. Już w 2006 roku stworzyli spółkę Ekobenz, niedawno zaś sięgnęli po dotację z Programu Innowacyjna Gospodarka na produkcję nowego paliwa.

– Połączyło nas przekonanie, że profesor dokonał prawdziwego przełomu w technologii produkcji biopaliw, a na wdrożeniu jego wynalazku do produkcji można zarobić – mówi, jak na biznesmena przystało, Dariusz Taras, wiceprezes spółki Ekobenz, i dodaje, że wkrótce ruszy linia pilotażowa produkująca ponad 750 tysięcy litrów nowego paliwa rocznie.

Do 2015 roku lubelska rafineria ma wytwarzać ponad 30 milionów litrów paliwa. Czy pomysło-

dawcy nie boją się, że Polacy chętniej będą lać do baków to, co już znają, czyli tradycyjną benzynę, zamiast nowej, ekologicznej?

– Przed zastosowaniem naszego paliwa nie trzeba będzie przerabiać silników, bo jego właściwości będą takie same jak benzyny pochodzącej z ropy naftowej – uspokaja profesor Nazimek. – Chcemy też, by cena rynkowa ekologicznej benzyny była niższa niż tradycyjnych paliw – dodaje prezes Taras.

W przypadku tej inwestycji to argument nie do przebiccia. Podobnie jak unijna strategia dotycząca transportu, zgodnie z którą do 2020 roku 20 procent paliw wlewanych do baków pojazdów w naszym kraju ma pochodzić z ekologicznej produkcji.

Ciepła woda zdrowia doda

Zwłaszcza jeśli – tak jak w Uniejowie pod Łodzią – wypełni się nią baseny termalne. Gmina, korzystając z naturalnych bogactw i Funduszy Europejskich, stworzyła niezwykle kompleks uzdrowski



Tytuł projektu: „Termy Uniejów – regionalny markowy produkt turystyki uzdrowskiej”
 Program: Regionalny Program Operacyjny Województwa Łódzkiego na lata 2007–2013
 Wysokość dotacji UE: 90 mln zł

Pierwsze baseny termalne powstały w Uniejowie kilka lat temu. Władze gminy postanowiły wykorzystać odkrycia naukowców z łódzkiej politechniki i uniwersytetu zajmujących się badaniem właściwości leczniczych źródeł solankowych i energii, jaką można z nich produkować. W 2002 roku zbudowano sieć ciepłowniczą, dzięki której uniejowskie domy są ogrzewane ekologicznie, wodą termalną (tutejsza solanka ma +70 stopni Celsjusza).

Władze nie poprzestały na tym. Urzędnicy postanowili – sięgając po Fundusze Europejskie – stworzyć w Uniejowie prawdziwy turystyczno-rekreacyjno-uzdrowski raj, na który składają się kolejne baseny termalne, hotele, odnowiony XIV-wieczny zamek, uzdrowski i kompleks sportowy. Wszystko jest zasilane energią pochodzącą z ekologicznej elektrowni geotermalnej.

Projekt „Termy Uniejów – regionalny markowy produkt turystyki uzdrowskiej” właśnie się rozpoczyna. Na jego realizację gmi-

na dostała pieniądze z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Łódzkiego. Burmistrz miasta Józef Kaczmarek żartuje, że jeśli wszystko się uda, zabraknie nam mieszkańców do pracy w tych obiektach. Inwestycje jak magnes przyciągają ludzi do Uniejowa, a ziemia idzie jak świeże bułeczki – zapewnia burmistrz.

Jak wszyscy tutaj zdaje on sobie sprawę, że bez Funduszy Europejskich te innowacyjne przedsięwzięcia nie byłyby możliwe. Józef Kaczmarek radzi, by myśleć perspektywnie.

– Projekty powinny dotyczyć nie tylko bieżących spraw, ale przede wszystkim dawać możliwości rozwoju na przyszłość, bo jeśli raz przejemy środki, drugi raz już nie będziemy mogli z nich skorzystać – przestrzega i dodaje, że zintegrowany uniejowski projekt zakłada nie tylko inwestycję i rozbudowę wcześniej postawionych obiektów, ale też kampanię promocyjną marki Eko-Uniejów, która ma przyciągnąć do miasta jeszcze więcej turystów i potencjalnych inwestorów.



Teksty: Marcelina Szumer
Redakcja: Piotr Witek
Łamanie: Beata Danowska
Promocja: Jakub Maszkowski
Współpraca: Smartlink, www.smartlink.pl
 Jerzy Gontarz, Tomasz Skolimowski
Więcej na stronie: www.50przekroju.pl

za ciężkie? a dresik załóż



**Najcięższe załączniki
– nawet do 100 MB w poczcie WP**

a-dresik.wp.pl

Fryderyk niezbyt mocny

Czy fonografia na zakręcie wciąż potrzebuje wręczanej z wielką pompą nagrody? Tak. Ale nie takiej

JAREK SZUBRYCHT



Kiedy ten numer „Przekroju” trafi do kiosków, organizatorzy uroczystej Gali Fryderyków dopiero zaczną chłodzić szampana. Nie mam więc pojęcia, kto w poniedziałek 9 maja otrzyma statuetkę, ale najpewniej zatriumfuje Monika Brodka, nominowana aż w dziewięciu kategoriach. To dobrze, bo „Granda” jest fajną płytą i warto nagrodzić wokalistkę za artystycznie udane dojrzwanie. Niechby tą drogą poszli inni. Jeśli garść Fryderyków zgarnie Czesław Śpiewa – siedem nominacji – też dobrze, bo „Pop” to udany album, świadectwo poszukiwań i odwagi. Po sześć statuetek mogą otrzymać Acid

Drinkers, Wojciech Waglewski i Raz, Dwa, Trzy, a więc też znakomici artyści, bez dwóch zdań.

Jeśli zatem jest tak dobrze, to dlaczego wciąż jest źle?

Frycek-Kazik 0:1

Fryderyk? Jak to Fryderyk?! Mistrz Chopin przewraca się w grobie! – protestowali szacowni przedstawiciele środowisk związanych z muzyką poważną, kiedy dowiedzieli się, czyje imię ma nosić polska nagroda fonograficzna wzorowana na amerykańskiej Grammy. Ich sympatii nie wzbudził też pro-

jekt statuetki (owszem, był koszmarny), ale mimo larum podniesionego przez akademików w 1995 roku Fryderyki wręczono. I trudno się dziwić, bo branża miała co świętować. Od roku interesy artystów i wydawców chłonione były – przynajmniej w teorii – nową ustawą o prawie autorskim, cała Polska szalała na punkcie młodych zdolnych (Hey, Varius Manx, Kowalskiej, Bartosiewicz, Turmanna), a nieco starsi (Maanam, Voo Voo) najwyraźniej przeżywali drugą młodość, a smarkula Czesław Śpiewa pokazała podczas Eurowizji, że polskie powiny drzeć przed muzycznym grysem Europy.

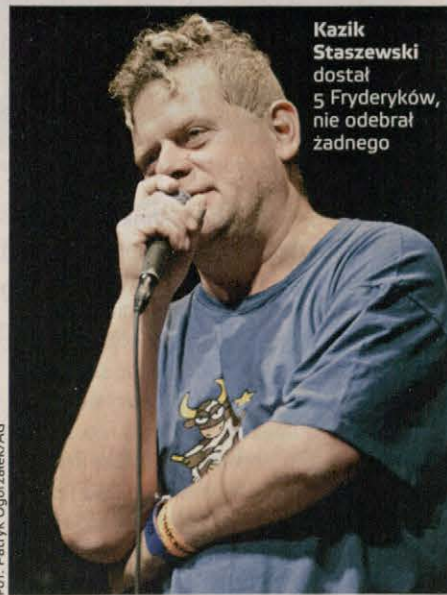


Monika Brodka – fryderykowa rekordzistka z 2010 roku, przynajmniej jeśli chodzi o nominacje (otrzymała ich aż dziewięć)

Nasze Grammy miały scementować polską scenę, umocnić ją i ubogacić, pomóc w promocji dobrej rodzimej muzyki w kraju i za granicą. Miało być pięknie, a wyszło jak zwykle. Rychło okazało się, że środowisko jest skłócone, rządzą nim koterie, które nie dopuszczają do żłobu młodszych i bardziej głodnych kolegów, kryteria przyznawania nominacji i samych nagród są nie do końca – a już na pewno nie dla wszystkich – przejrzyste.

Niemal śmiertelny cios zadał Fryderykom Kazik Staszewski, notabene sprowokowany. Otóż artysta ów, nominowany w trzech kategoriach do nowych nagród, nie wybiegł się na uroczystość ich wręczenia ze względu na zaplanowany wcześniej koncert, więc organizatorzy gali, pociągając za odpowiednie sznurki, odwołali mu ów występ. Przyparto do muru Staszewski, zamiast się poddać, zaczął gryźć – nie odebrał nie tylko swojego pierwszego Fryderyka, ale i kolejnych (w sumie dostał 5 na 15 nominacji), aż w końcu akademicka straciła cierpliwość i zrobiła rzecz najgorszą z możliwych, czyli przestała go nagradzać. Tym samym w Polskę poszedł komunikat, że jest jakieś szemrane towarzystwo, które ma swoją nagrodę, i równiacha Kazik, który ma tupet oraz wierną publiczność.

Później bywało raz lepiej, raz gorzej. Zwykle gorzej. Wykorzystując kontrowersje wokół Fryderyków, niemal każde polskie medium powołało do życia własny laur, zawsze promowany – tylko przez siebie oczywiście – jako



Kazik Staszewski dostał 5 Fryderyków, nie odebrał żadnego

– Jak ludzie mają szanować te nagrody, skoro sami muzycy je bojkotują – mówi Czesław

i artystom, i wytwórniam. Nie po to, żeby arbitralnie rozsądzić, kto jest najlepszy w danej kategorii, bo to oczywiście niemożliwe, ale po to, żeby promować muzykę – uważa Borys Dejnarrowicz, dziennikarz i muzyk, skądinąd laureat Fryderyka, którego dostał w 2007 roku, gdy współtworzył formację The Car Is On Fire. – Polska cierpi na brak zainteresowania muzyką jako czymś więcej niż tłem do imprezy, do zmywania i gotowania, spaceru czy jazdy autem. Mamy bardzo prężną scenę, niestety interesują się nią nieliczni i muzyka z jakimikolwiek aspiracjami artystycznymi trafia do niszy. Nagrody, które byłyby w stanie ogarnąć szerokie spektrum krajowej muzyki, przyczyniłyby się do promocji tych nagrań, co z kolei oznaczałoby większe możliwości organizacyjne samych muzyków i małych wytwórni – podsumowuje.

Koncert pobożnych życzeń

Kłopot w tym, że to przede wszystkim małe wytwórnie i niezależni artyści programowo bojkotują Fryderyki. Na przykład Macio Morretti, który przez Akademię Fonograficzną został dostrzeżony – piękny paradoks! – wyłącznie jako grafik, a który za swoją działalność muzyczną w Mitch & Mitch, Paristetris i wielu innych projektach, o oficynie Lado ABC nie wspominając, zgarnął ostatnio Fenomena „Przekroju” i Paszport „Polityki”. Albo Pablo pavo, który mógłby namieszać w nieco zatechlej kategorii autorów tekstów. Lub Lao →

→ Che, którzy za „Powstanie warszawskie” pewnie nie mieliby szans na Fryderyka tylko w kategorii Wokalistka roku. I jeszcze Niwea, której ubiegłoroczny debiut wstrząsnął polską sceną alternatywną. Ale muzycy nie zgłosili się po nagrodę, więc laur za najlepszą płytę alternatywną może zgarnąć koncertowa składanka „Męskie granie”. Cóż, takiego obrotu spraw nie mógł przewidzieć największy optymistą z działu marketingu Żywca...

– A co to jest, że mamy się zgłaszać? – wścieka się Czesław Mozil, który życzyłby sobie silniejszej konkurencji w tych zawodach. – Każdy, kto wydaje płytę w Polsce, powinien być automatycznie brany pod uwagę. Lepiej byłoby dla mnie, dla Marysi Peszek, dla nagrody i całej branży, gdyby Lao Che czy Kazik też byli nominowani. Jeżeli Kazik naprawdę nagrywa płyty roku, to powinien dostawać Fryderyki, nawet jeśli miałby się na ich rozdaniu nigdy nie pojawić.

Jednak problem leży nie tylko w zgłoszeniach. Absolutnie kompromitujące dla nagrody są w tym roku nominacje do najlepszej płyty ze świata (to kategoria open, mieści przedstawicieli różnych gatunków). Trudno przecież tłumaczyć, że Jeff Beck i Eric Clapton stanęli w kolejce po Fryderyka, a The National, Arcade Fire i Janelle Monáe już nie. Że polskie wytwórnie przedstawiły propozycje? W porządku, ale przecież ktoś kompetentny powinien to weryfikować. Niestety, takie wybory podważają wiarygodność nie jednej kategorii, lecz całego przedsięwzięcia i trudno się potem dziwić fanom muzyki, że nie szanują nagród. Oraz tym samym wydawcom, że nie kwapią się do naklejania na płyty nalepek „Laureat Fryderyka”, których widywaliśmy sporo pod koniec lat 90.

Może przynajmniej w kategoriach bardziej, nazwijmy je, specjalistycznych jest nieco lepiej niż w świecie muzyki popularnej? Sprawdźmy na przykład jazz... – Jeśli Pink Freud, będąc przez dekadę zespołem skupiającym na sobie całą uwagę, grającym najwięcej koncertów, mającym ogromną publiczność w naszym kraju i poza jego granicami, został idealnie pominięty, no to co ja mogę sobie pomyśleć – pyta retorycznie Wojtek Mazolewski, lider Pink Freud i Wojtek Mazolewski Quintet. – Fryderyki żyją w czasach i przestrzeni koncertu życzeń w TVP z lat 80. Ale to tylko ich pobożne życzenie. Większość z nas już nie ma telewizorów! Część zespołów, które wygrywały w naszych kategoriach w realu, nie istnieje. Nie ma ich w liczących się klubach, na festiwalach, nie grają tras. Spytaj miłośników muzyki, co jest wartościowe, to ci powiedzą.



Górnjak w Kongresowej (prawie pusty), 1998 rok



Niemiński i Sojka na pierwszej gali w 1995 roku



To były czasy – O.N.A. zostaje grupą roku, a nagrodę wręcza Przemysław Saleta, 1999 rok

– Z tego, co mi wiadomo, członkami Akademii Fonograficznej, czyli ciała upoważnionego do głosowania, są wszyscy dotychczasowi laureaci oraz szeroka kadra działaczy z branży. I kiedy patrzy się na nominacje, nie sposób nie zauważyć, że ci ludzie nie śledzą nowości, nie zadają sobie trudu wysłuchania premierowych nagrań – wtóruje mu Dejnarowicz. Po braku nominacji sądząc, debiutu jego nowej formacji Neweast Zealand też nie przesłuchali... – A kiedy człowiek nie interesuje się muzyką, nową muzyką, to dochodzi do absurdów takich jak nominowanie od 10 lat tych samych 15 nazwisk we wszystkich kategoriach. Matematyka jest nieubłagana – to oni zbierają najwięcej głosów, bo ich kojarzy, rozpoznaje i identyfikuje akademia – twierdzi Dejnarowicz. – Ignorowane jest całe bogactwo sceny alternatywnej funkcjonującej poza mainstreamem. Ci odrzuceni szybko się zorientowali, że utrzymaniem takiego status quo zainteresowane są duże wytwórnie i nieprędko to się zmieni, więc ignorują Fryderyki i nie zgłaszają swoich wydawnictw do nagrody. To błędne koło.

Szanuj siebie

Jeśli więc tego rodzaju wyróżnienia są wszystkim potrzebne, a Fryderyki od niemal dwóch dekad pozostają zepsute, to co należy zrobić? Można powołać do życia nowe nagrody, nie-

zależne od wytwórni płytowych i głównych medialnych graczy, na przykład wzorowane na brytyjskich Mercury Prize, mniej widowskich, ale za to bardziej prestiżowych od Brit Awards. Tylko kto za to wszystko zapłaci? Można też próbować naprawić Fryderyki. – Uważam, że powinno się dopuścić do grono dziennikarzy muzycznych. Niech przyznają własną nagrodę, jakiegoś specjalnego Fryderyka – postuluje Mozil. Borys Dejnarowicz idzie jeszcze dalej. – Trzeba przekazać głosowanie w ręce młodych, aktywnych kompetentnych blogerów pasjonatów, którzy rocznie pożerają setki nowych płyt. Niech decydują ci, którzy są z tematem na bieżąco. Wtedy będą to wiarygodne nagrody i wówczas będzie można się spierać, czy dobrze, czy źle, nagrodę dostał ten, tamten i siamten. Dzisiaj takie spory są jałowe, bo z merytorycznego punktu widzenia nagroda nic nie znaczy.

Czesław, który śpiewa, ma jeszcze jedną uwagę, niemerytoryczną. – Żeby inni nas szanowali, sami musimy siebie szanować. Pamiętaj, jak w 2008 roku Feel dostał Fryderyka publiczności, demokratycznie, przez SMS-y – bo to był ich czas, a ludzie zaczęli wychodzić z sali podczas ogłaszania werdyktu. Totalnie wiocha – wspomina artysta. – To samo dzieje się w trakcie występów. Kapela wchodzi na scenę, a oni do baru. To jest impreza muzyczna, ale wszyscy mają to gdzieś.



Wpleciony z papierowego sznurka napis Agnieszki Kalinowskiej. Credo BWA Warszawa

Sztukę sprzedajemy bez obciachu

Fundacja Galerii Foksal i Raster to wciąż gwarancja dobrej sztuki. A jednak najciekawsze propozycje ostatnio pochodzą z coraz liczniejszej grupy pościgowej. Prym wiodą w niej BWA Warszawa, Kolonie i Stereo

JACEK TOMCZUK

Dwie najbardziej prestiżowe galerie pozostają w uśpieniu. Raster zamknął siedzibę przy ulicy Hożej w Warszawie i nie wiadomo, kiedy zobaczymy nową wystawę przygotowaną przez Łukasza Gorczycę i Michała Kaczyńskiego. Zapewne szybciej w Japonii niż Polsce, bo założyciele Rastra dopinają program swego festiwalu sztuki. Po Warszawie i Reykjavíku kolejna edycja imprezy odbędzie się w Tokio. Fundacja Galerii Foksal zdaje się nie uważać potrzeb widza zajęta promocją swoich artystów za granicą. Nic dziwnego, że w Warszawie powstają kolejne galerie z ciekawymi artystami i wystawami: w Poznaniu Stereo, w Warszawie Kolonie, BWA Warszawa, Starter. Jako prywatne centrum sztuki współczesnej okryła powołane przez siebie miejsce (ma pełnić funkcję galerii i domu kultury w jednym) Michał Woliński, twórca magazynu „Piktogram”. Pojawiają się nowi artyści, nowe środowiska – po prostu ktoś musi je pokazać, ale nasza

scena galeryjna i tak ciągle jest bardzo mała. Czy zaczęła się rywalizacja o to, kto stanie na podium za Rastrem i FGF? Ich podium stoi w nieco innym kosmosie niż nasze, ale pewnie tak jest – mówi Jakub Banasiak. Jako krytyk był patronem malarzy nawiązujących do surrealizmu, jednak jego Kolonie reprezentują artystów różnych mediów. To najbardziej „pokoleniowa” galeria z nowo powstałych. – Na razie pracuję tylko z artystami z roczników 80.: Tymkiem Borowskim, Pawłem Śliwińskim, Katarzyną Przezwańską, Normanem Leto... – dodaje. Z kolei Stereo to młodziak Pernerstwa, „wrażliwych chamów” ukąszonych fascynacją estetyką punku, latami 80., groteską. Są wśród nich Wojciech Bąkowski, Piotr Bosacki, Iza Tarasiewicz. Jeszcze młodszy poznania – Honza Zamojski, Agnieszka Grodzińska i Jakub Czyszczoń – wystawiają w Starterze. Inny klucz wybrało BWA Warszawa. – Zaprosiliśmy artystów z różnych pokoleń, środowisk – Adama Adacha czy Jarosława Fli-

cińskiego – których łączy temat pojawiający się w ich sztuce, rodzaj tęsknoty za upadłym modernizmem. Niby dużo się o tym mówi, ale nikt tego wprost nie nazwał, tym bardziej w komercyjnej galerii – mówi Michał Suchoła, współzałożyciel BWA Warszawa. 7 maja – na otwarcie – galeria przygotowała wystawę „Płandrujemy ruiny rzeczywistości”. Świat sztuki to nie miejsce na łamanie standardów, raczej na precyzyjne trzymanie się norm, a te ustaliły Raster i FGF. – A jednak otwieramy się 10 lat później i nie ma sensu udawać, że nic się przez ten czas nie zmieniło. Dziś już nie ma miejsca na zabawę w sztukę, robienie klubu w galerii. Trzeba mieć galerię na parterze (a nie na czwartym piętrze), wyraźnie określonej przestrzeni na wystawę (a nie domyślać się, w którym pokoju stoi instalacja). Dwa miesiące przed wystawą wybrani kolekcjonerzy wiedzą, co na niej będzie, by mogli zastanowić się, co chcą z niej mieć. Strona internetowa odpala miesiąc przed otwarciem – mówi Suchoła, a Banasiak dodaje: – Raster i Fundacja, zaczynając, łączyły cele komercyjne z pracą misyjną, edukacją widzów. I wiele dzisiejszych galerii często postępuje podobnie, choćby sprowadzało się to tylko do pewnego sznytu, atmosfery. I bardzo dobrze. Wyjątkiem jest Michał Woliński: – Nie kręci mnie myślenie o sztuce jako towarze do sprzedania. Na prowadzenie galerii będę szukał pieniędzy od sponsorów, darczyńców, a to, co zamierzam pokazać, nie ma komercyjnego potencjału. Marzą mi się targi art booków, fanzinów o sztuce – mówi. Co na to liderzy? Dzięki poparciu Adama Przywary z FGF lokalna galeria Stereo jedzie na prestiżowe targi świata do Bazylei, Łukasz Gorczyca niedawno zapewniał w „The New York Times”, że Warszawa galeriami stoi. – Nikt nie zagrozi Rastrowi i Fundacji. Ich ambicją jest, by Warszawa była głównym miejscem, gdzie przyjeżdżają kolekcjonerzy z Zachodu, by kupić coś na Wschodzie. A ci muszą czuć, że tu jest ferment, życie. Oni kupili swoje Sasnale i chcą się dowiedzieć, co jeszcze mamy do zaproponowania – tłumaczy Justyna Kowalska, współzałożycielka BWA Warszawa. Dlatego galerzyści łączą siły. BWA Warszawa, Piktogram i Leto (wszystkie mieszczą się na warszawskiej Pradze) działają pod szyldem „Bliski Wschód”. – Otwieramy wystawy tego samego wieczoru, to się wszystkim oplaca. Nawet w Berlinie, gdzie przy jednej ulicy działa kilkadziesiąt galerii, choć są one dla siebie konkurencją, podejmują wspólne działania, bo to przyciąga widzów, wzmacnia przekaz – mówi Justyna Kowalska.

Śmiertelnie śmieszne



ROZMAWIA
MARCIN SENDECKI



Marcin Świetlicki

Urodził się w Wigilię Bożego Narodzenia w 1961 roku. Szkołę podstawową ukończył w rodzinnych Piaskach, liceum w Lublinie, studiów polonistycznych nie ukończył na Uniwersytecie Jagiellońskim. W latach 1984–1986 odbył zasadniczą służbę wojskową w jednostce artylerii. Debiutował głośnym tomem „Zimne kraje” w tak zwanej fioletowej serii „bruLionu” (1992). Laureat między innymi nagrody imienia Kościelskich i Paszportu „Polityki” (którego nie przyjął). Oprócz wielu tomów wierszy wydał kilka książek prozatorskich (za zamykającą kryminalną trylogię powieść „Jedenaście” dostał w 2009 roku nagrodę Gdynia). Występuje jako wokalista zespołu Świetlicki, udziela się też w innych przedsięwzięciach muzycznych. Tom „Wiersze” zbierający jego dorobek poetycki – łącznie z obszernym blokiem utworów rozproszonych i niepublikowanych – właśnie ukazuje się nakładem wydawnictwa EMG.

MARCIN ŚWIETLICKI dobiega pięćdziesiątki i wydaje zbierający utwory poetyckie tom „Wiersze”. A w rozmowie z „Przekrojem” demaskuje dawne kłamstwa, czyni zaskakujące erotyczne wyznania i jubileuszowo napomina kolegów, żeby się bardziej starali (oraz niezobowiązująco gwarzy o tym i owym)

Podobno udzieliłeś ostatnio wywiadu „Polityce”. O co pytali?

– Pan z „Polityki” głównie pytał mnie, jak żyć (śmiech). Najgorsze jednak było to, że potem przyjechali państwo warszawscy fotografowie. Myślałem, że oszaleję. Najpierw chcieli, abym chodził po jakichś dachach, ale ja przecież raczej po dachach nie łażę. Więc odmówiłem. Wobec tego kazali mi (a ja się oczywiście nie zgodziłem) usiąść w takiej wnęce i się skulić jak Ptasiak. To ja mówię, że to nienaturalne, ja przecież nigdy nie siedziałem w tej wnęce i nigdy się nie kuliłem jak Ptasiak. No to zaproponowali, żebym się przebrał w ubranka, które przywieźli dla mnie, i pokręcił hula-hoopem na Rynku... Na szczęście wszystko dobrze się skończyło i całkiem ładnie i udane zdjęcia mi zrobili w mojej naturalnej scenarii, czyli w knajpie, w moim osobistym ubraniu i bez makijażu. Czasami trzeba się uprzeć i nie zgodzić na czyjaś wizję artystyczną.

Elegancko. Jak żyć, powiadasz. A na Facebooku już żyjesz?

– Podobno jest tam jakaś strona fanowska Świetlickiego. Ale niewiele mnie to obchodzi. Ja się nie zapisałem do tej partii, bo do żadnej partii ani sekty się nie zapiszę, bo niby

czemu miałoby to w moim przypadku służyć Niczemu.

Nie łakniesz kontaktu z bliźnimi?

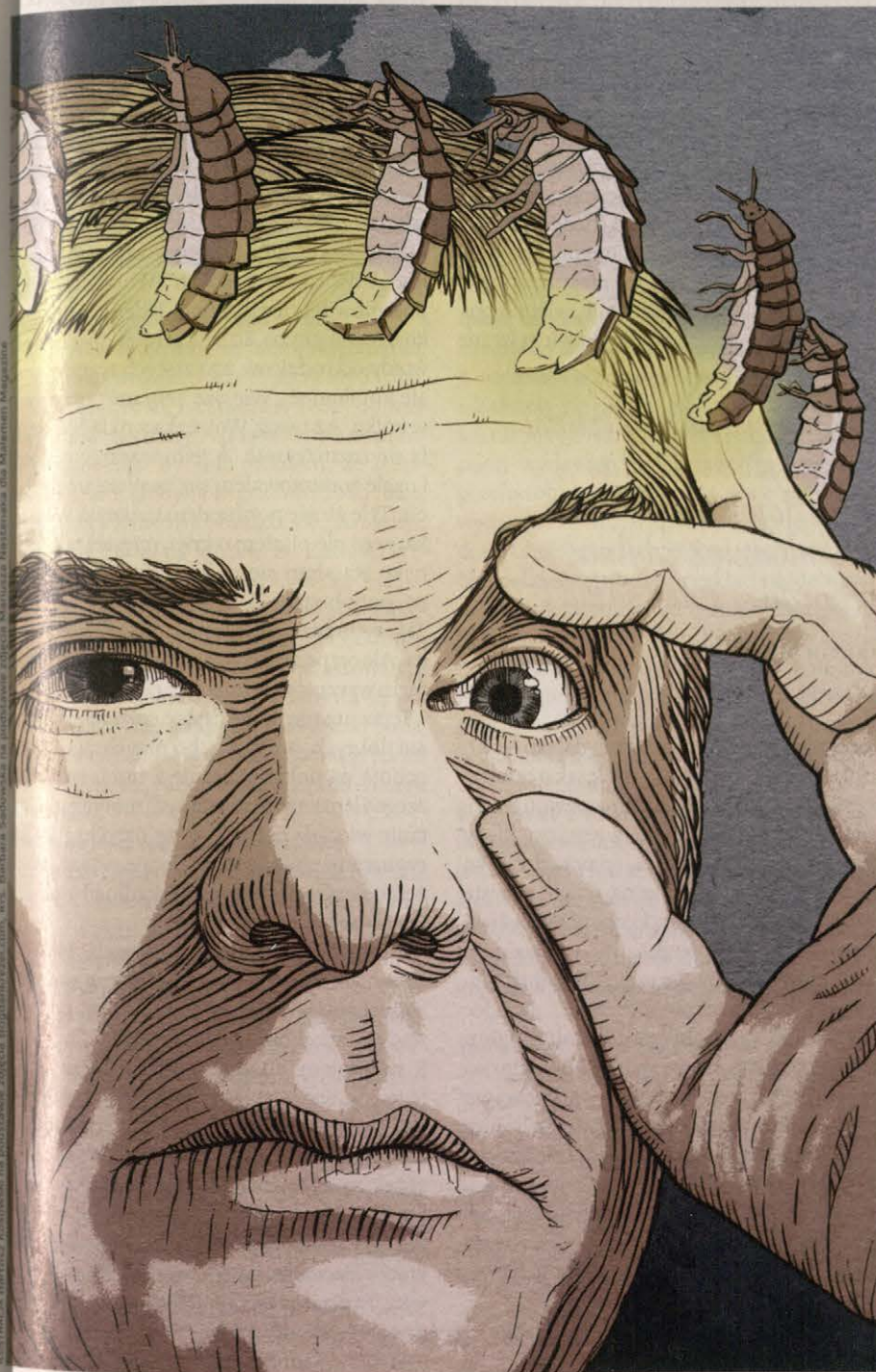
– Mam nieustanny kontakt z bliźnimi. I tak się zbyt wielu wariatów spotyka na ulicy, to jeszcze zbierać wariatów z całego świata? Nie zamierzam.

Epoka jest polityczna, więc zanim zaczniemy zajmować się głupotami, ustalmy podstawowe fakty. Na wybory nie chodzisz?

– Kiedyś utrzymywałem, że nigdy nie głosowałem, ale to kłamstwa były. Dwa razy w życiu byłem na wyborach. Raz w wojsku – tam nie było gadania, ustawili nas czwórkami, poprowadzili, kazali wrzucić jakieś karteczki do urny, tośmy wrzucili. To raz, przez przymus. Drugi raz był kompletnie bez przymusu, chociaż może był to przymus chwili, bo chodzi o wybory w 1989 roku. Ale już nie pamiętam, na kogo głosowałem, czy na komunistów, czy... (śmiech).

A potem co?

– A potem nic. Ja nie jestem uprawniony do głosowania. Nigdzie nie jestem zarejestrowany, nie mam żadnych praw obywatelskich. Jeśli zechcę mieć prawa obywatelskie, to wtedy będę się zastanawiał, na kogo mam



„Ten prezydent o nazwisku Komorowski pewnie rozszłościłby się, gdyby się dowiedział, że jest taki obywatel najniższej kategorii, który pisze, szanując zasady ortografii

MARCIN ŚWIETLICKI

głosować. Teraz jestem obywatelem najniższej kategorii. Więc takie rozterki mnie nie dotyczą.

Kokieteryę kolega uprawia.

– Ale dzięki temu mam prawo pyskować, bo do pyskowania mam prawo zawsze jako obywatel najniższej kategorii.

Oraz artysta. Słyszałeś, że teraz artyści to nawet z premierem dyskutują i wskazują poważne bolączki?

– Słyszałem, że to Kukiz z Hołdysem z premierem rozmawiali. To musiało być poruszające! Czego to ludzie nie zrobią z próżnością! Nawet z premierem porozmawiają (śmiech)! Co do mnie, to jedyna władza, jaką z bliska poznałem i z którą rozmawiałem, to prezydent Wrocławia. No i to jest niesłychanie zaskakujące, że akurat z tym prezydentem da się spokojnie zamienić parę ludzkich zdań. Ale on jest wyjątkiem. Z prezydentem miasta Krakowa nie zamierzam zamieniać ani jednego zdania. Natomiast prezydent Wrocławia to nawet książki czyta, zdaje się, że i moje...

To może i nasz ogólny prezydent by ci się spodobał?

– A kto to teraz piastuje ten urząd, niechże się zastanowię... A, on ma na nazwisko Komorowski, tak? Tak, tak, opowiadano mi o nim. Ja w swoich książkach dbam o ortografię, o właściwie użyte znaki przestankowe, o poprawną polszczyznę, bardzo tego pilnuję, więc nie wiem, czy podoba mi się ten prezydent, a i ja na pewno bym mu się nie spodobał, on pewnie rozszłościłby się, gdyby się dowiedział, że jest taki obywatel najniższej kategorii, który pisze, szanując zasady ortografii.

Spytałem o ostatni wywiad, bo udzieliłeś ich całe mnóstwo i jestem ciekaw, czy jest coś, o czym nigdy nie mówiłeś w takich rozmowach do publikacji?

– Nigdy czystej prawdy się nie mówi, zawsze podaje się w wywiadach prawdę lekko zabrudzoną, podstępnie czemuś tam służącą. Czyli prawdy o sobie nie mówiłem nigdy (śmiech). Zaglądałem nawet ostatnio do różnych swoich wywiadów, bo chciałem się czegoś nowego na swój temat dowiedzieć, przemyśleć wszystkie te zmyślenia. Było mi to potrzebne, ponieważ wymyśliłem sobie, że sam napiszę wstęp do tych wierszy zebranych. No i się okazało, że kłamliwe były twierdzenia, że najchętniej piszę o sobie, bo wstępu o sobie nie jestem w stanie napisać. Czyli wniosek nasuwa się taki, że raczej nie pisałem nigdy o sobie, bo ktoś, kto pisze o sobie, kto siebie kocha, rozumie i szanuje, łatwo by taki wstęp →

→ napisał. A mnie się przez chwilę wydawało, że to potwornie proste, ale wcale nie, okazało się, że nie potrafię. A wstęp do niestety nieopublikowanego wyboru wierszy Podsiadły napisałem bez żadnego problemu. Oczywiście napiszę ten swój wstęp, bo się podjąłem takiego wyzwania, ale ile niewyobrażalnych cierpień mi to przysparza, wiem tylko ja.

Wstęp wstępem, ale naprawdę chcesz

powiedzieć, że twoje wiersze nie są o tobie?

– No właśnie, one chyba jednak nie są o mnie...

Zawracanie głowy! Wiadomo, że w wierszach

pojawia się jakaś literacka persona, ale ona

ma więcej wspólnego z tobą niż z kimkolwiek

innym.

– Ma się rozumieć. Ale jest między

tym podmiotem a mną mnóstwo

różnic. Nie stanowimy jedności. Nie

znamy się za dobrze. Wiele o sobie

nie wiemy. Wyobrażam sobie, że

Artur Szlosarek albo Tomasz Mann

spokojnie by wstęp do swych dzieł

zebranych potrafili napisać, oni

są w harmonijnej jedni ze swoimi

podmiotami, a ja próbuję, próbuję,

męczę się i nie potrafię. [No i nie

mówił prawdy Świetlicki, wstęp osta-

tecznie napisał – ms].

Wracając do władzy: zauważyłem, że bardzo

dużo, zwłaszcza we wczesnych wierszach

nieopublikowanych, występuje kościół.

– Naprawdę? Bez przesady. Jeśli się kościół

pojawia, to pewnie dlatego, że kiedy przyjecha-

łem na studia, Kraków jawił mi się jako

miasto kościołów. Zresztą w moim rodzinnym

miasteczku na Lubelszczyźnie kościół był

najwyższym budynkiem, punktem odniesienia.

Tutaj za oknem też mam kościół [Mariacki – ms].

Nawet nazwałem te wieże Godzillą i Hedorą.

Ale zgodziłeś się, żeby Wojtek Bonowicz ułożył

z twoich tekstów wybór wierszy religijnych pod

tytułem „Nieoczywiste”.

– Bo ja się, naturalnie, poruszam po obrze-

żach tematyki religijnej. Wielu literatów, któ-

rych znam, kompletnie nie ma tego punktu

odniesienia, a ja mam. I wcale się tego nie

wstydzę.

Chodzi o sztafaż, język czy o prawdziwą

komunię z nadprzyrodzonym?

– Wiadomo, że chodzi o język. Przede wszyst-

kim uwielbiałem to, jak się przed laty tyle

w kościele nie śpiewało, tylko mówiło. I za-

wsze uważałem, że ten kościelny język, pol-

ski kościelny język, cokolwiek by oznaczał,

ma piękną melodię. A potem zaczęto te rzeczy

mówione śpiewać. W dodatku, co bardzo jest

dla mnie bolesne, jest tak, że wiele pieśni za-

leżnie od parafii jest w zasadzie na inną nutę, ci rozszalali organiści, te księżowskie wokalizy – kompletnie nie wiem, jak ludzie sobie z tym radzą...

To się nazywa pluralizm.

– Czasami pluralizm jednak boli, proszę pana.

Zdarza się, że pisząc o sprawach zupełnie

świeckich, przyjmuję tę kościelną melodię

poliszczyzny. Ale te wszystkie sprawy kościel-

ne słabo mi leżą na sercu. A kiedy pracowa-

łem w „Tygodniku Powszechnym”, nagle się

zorientowałem, że mnóstwo niepotrzebnych

rzeczy, podświadomie zupełnie, wiem o pol-

skim Kościele. Teraz już tam od wielu lat nie

„ Nie ma sensu młodzieży
nie radzić i udzielać
błogosławieństw.
Jak młodzież zdolna,
to poradzi sobie sama

MARCIN ŚWIETLICKI

pracuję, więc chyba odszedłem daleko od Ko-

ścioła (*śmiech*). O sobie nie myślę jak o człowie-

ku religijnym, dekalog bym na pewno trochę

inaczej skonstruował. Nie wiem, czy kiedy-

kolwiek miałem w sobie to, co prawdziwy ka-

tolik mieć powinien, ale na religię przesta-

łem chodzić po czwartej klasie podstawówki.

Może ksiądz był niewłaściwy, uznałem, że

to, co mówi, nie jest dla mnie? Nawet sfałszo-

wałem – żeby pokazać rodzicom – świadec-

two z religii, przerobiłem nieudolnie czwartą

klasę na piątą. Co za wstyd! I ponadto nie

jestem bierzmowany. Potem spróbowałem

pójść na lekcję religii jeszcze raz, już w liceum,

w Lublinie, i trafiłem na jakiegoś księdza psy-

chopatę, który głównie ział nienawiścią

do Żydów. Rok 1976, młody ksiądz, który nie

wyrażał nienawiści do komuny, tylko wyłą-

cznie do Żydów! Bardzo mnie to zraziło. Dałem

sobie spokój i więcej nie próbowałem.

Widać też, że dużo za młodu czytałeś Rafała

Wojaczka.

– Główną moją czytelną, jeszcze w szkole

podstawowej, był strych. Na strychu znajdo-

wało się mnóstwo starych gazet i książek wy-

niesionych z domu. I na tym strychu w piśmie

„Magazyn Polski” z lat, powiedzmy, 60. był

kącik dla zakochanych – ktoś przysyłał wiersz

jakiegoś polskiego lub zagranicznego autora

z dedykacją dla bliskiej osoby i było to publi-

cowane. Jakiś młody człowiek, pewnie zbun-

nowany hipis, swojej dziewczynie zadedyko-

wał „List do nieznanego poety” Wojaczka

[Teraz Świetlicki deklamuje pierwszą strofę

owego utworu – ms]. Przeczytałem to i pomy-

ślałem: „Znakomity wiersz!”. Natomiast chwi-

lę potem, już w Lublinie, zachodziłem do ta-

kiej fajnej księgarni, co to już dawno jej nie ma,

przy ulicy Chopina, i któregoś dnia zobaczy-

łem młodocianego intelektualistę ubranego

tak, że się w tamtych czasach wyraźnie odróż-

niał od tłumu, który kupował kilka egzempla-

rzy „Utworów zebranych” Wojaczka. Więc

postanowiłem też to zrobić. Jeden egzemplarz

kosztował chyba 80 złotych, ja dostawałem

wtedy od rodziców 200 złotych tygodniowo,

ale kupiłem te „Wiersze zebrane” i czytałem

w kółko. Aż twarz Wojaczka z okładki zaczę-

ła się rozmazywać. A jednocześnie pisałem

i nagle zorientowałem się, że piszę trochę jak

on. Tyle że nie poruszałem tematyki Wojacz-

ka, więc nie pisałem o krwi, mięsie i tak dalej,

tylko starałem się pisać o swoich rzeczach

na podobną modłę, w podobnym rytmie.

Tak, rytm przejąłem trochę od Rafała Wojacz-

ka. Ale on przejął go od romantyków, więc nie

mam wyrzutów sumienia.

Teraz już nie mogę czytać cudzych wierszy,

ani dobrych, ani złych, bo natychmiast mam

ochotę na polemizowanie z nimi, zrobienie

czegoś lepszego z tym samym motywem. Czy-

tanie wierszy powoduje, że natychmiast za-

czynam je pisać, więc wołę nie czytać, po to

żeby wiersze przychodziły skądinąd.

Czyli skąd?

– Skądinąd. No nie wiem skąd. Skądś tam. Gdy-

bym natomiast teraz usiadł z panem nad tymi

wczesnymi wierszami, to mógłbym pokazy-

wać poszczególne zdania i mówić, od kogo-

podjeżdżam, że wiem, gdzie mogłaby być, ale bałbym się do niej zaglądać. Może kiedy

będzie wydawał tom zebranej prozy, dołączę ją

jako bonus – jeśli się znajdzie.

O czym ona była?

– Nazywała się „Śmiertelnie śmieszne”, dwa

tytuły jak Świetlicki, lubię słowa na „ś”...

To był rodzaj trochę wizyjnego zapisu moje-

go przyjazdu tutaj, do Krakowa, i pierwsze-

go roku na studiach – pamiętam, że pisałem

w dużym notatniku akademickim z czerwoną

okładką.

Na studia przyjechałeś w 1980 roku?

– Wszystkie moje daty są niezwykle znaczą-

ce: do podstawówki poszedłem w 1968 roku,

do liceum w 1976, na studia w 1980, do woj-

ska w 1984 i tak dalej. A powieść była napraw-

de wizjonerska. Był taki moment, że które-

goś dnia, zimą, chyba w grudniu 1980 roku,

mieszkańcy Krakowa obudzili się i zobaczyli

radzieckie czołgi na Rynku. Bo Zanussi kre-

cił „Z dalekiego kraju”. No i była drobna pa-

nika, że nagle Rusczy weszli, żeby spacyfiko-

wać Solidarność. A to były zdjęcia do filmu

o papieżu. W książce tę scenę potraktowałem

dosłownie, że jednak weszli i odbywa się po-

tworna ucieczka z Krakowa wszystkich boha-

terów powieści, jakiś straszny pociąg, jakieś

rozstrzeliwania, różności. Rok przed stanem

wojennym.

Właściwie dlaczego wybrałeś Kraków?

– Lublin to urocze miasto, ale jednak straszna

dziura, a Warszawa jest przerażająca i zimna.

Zdałem więc na studia do Krakowa.

Podobało wyrzucił cię z uniwersytetu,

bo poległeś na łacinie?

– Nie! Z łaciny byłem dobry w liceum, więc

na studiach mnie z niej zwolniono. Przeróż-

ne legendy o sobie słyszałem. W Wikipedii

na przykład jakiś matoł napisał, że zostałem

usunięty ze studiów za odmowę uczestnicze-

nia w zajęciach z wojska. Ale bzdura! Po pro-

stu, o ile dobrze pamiętam, nie poszedłem

do żadnego egzaminu na pierwszym roku

polonistyki. Bo mi się nie chciało, bo miałem

co innego do robienia. Potem coś, nie pamię-

tam jak, załatwiałem i skreślono mnie z listy

studentów dopiero 14 grudnia 1981 roku. No

a że zaczęły się czasy groźne, to ponownie

zdałem na studia i znowu nie za bardzo po-

chodziłem na zajęcia i egzaminy. W każdym

razie jakoś się bujałem na uniwersytecie aż

do 1984 roku. Ale żadnej pasji do studiowania

w mnie nie było. No i dobrze, bo gdyby mi się

chciało i zostałbym polonistą, to nie napisał-

bym tych wszystkich wierszy.

Uważasz, że jesteś dobrze rozpoznany,

zrozumiany przez krytykę literacką?

– Raczej przepoznany, za bardzo rozpozna-

ny. Właściwie już o sobie nie czytam, bo do-

wiaduję się o takich swoich sensach i powikła-

niach, które by mi nigdy do głowy nie przyszły.

Pisanie wierszy to moja naturalna potrzeba,

a nagle się okazuje – ktoś pisze – jak to ja nawi-

ązuję do „Dziadów”, trawestuję Słowackiego

i poetów senegalskich; przedziwnych rzeczy

się dowiaduję. Mam dobrą pamięć do wierszy

i coś się w niej pewnie kotłuje, ale to się odby-

wa zupełnie poza mną, nieświadomie. Trochę

przerażające.

Jakieś rady od starszego kolegi dla piszącej

młodzieży? Co ma robić, żeby dobrze pisać?

A może żeby w ogóle młodzież nie pisała?

– Zakazać się nie da. Nakazywać cokolwiek

też nie ma sensu. Jak byłem młody, to te stare

poety wydawały mi się raczej wrogami niż

przyjaciółmi i pewnie dziś ja się młodzieży

wydaję także wrogiem, więc co ja mogę im

radzić? Chociaż są tacy, którzy chcą mieć moje

błogosławieństwo na przykład na debiucie.

Ale to tylko szkodzi. Mojemu debiutowi dał

błogosławieństwo Julian Kornhauser i pew-

nie tego żałował, bo potem bardzo mnie znie-

lubiał niestety, że ciągle tylko o tej wódecie i pa-

pierosach piszę. No więc nie ma sensu radzić

i udzielać błogosławieństw. Jak młodzież

zdolna, to poradzi sobie sama.

Dobijasz do pięćdziesiątki, wydajesz „Wiersze”,

czyli poetyckie utwory zebrane, wszyscy

wiedzą, kto to jest Marcin Świetlicki. W którym

momencie poczułeś się pewnie jako poeta,

kiedy zdałeś sobie sprawę, że możesz już

wszystko i nikt ci nic nie zrobi? Po którejs

nagrodzie, po którejs książce?

– E tam.

To może coś o życiu erotycznym?

– E tam. Chociaż, o właśnie! Mogę coś erotycz-

negu wyznać. Tego nigdy jeszcze naprawdę ni-

komu nie powiedziałem. Otóż jest taka moja

książka „Pieśni profana” się nazywająca...

Rok 1998.

– Tak jest. I teraz przy składaniu „Wierszy”

Edek [poeta Edward Pasewicz – ms] czytał

mi na głos moje książki (czyli to była ich gejo-

wska interpretacja), a ja przy laptopie sprawdza-

łem, czy wszystko w przepisany tekście się

zgadza. Pewnego dnia przeczytał mi właśnie

„Pieśni profana”, których prawie już nie

pamiętałem. Było tam wiele wierszy, które

mnie zaskoczyły. Przypomniałem sobie tajemnic

tych różnych utworów i zdałem sprawę, że

kiedy pisałem tę książkę, prowadziłem bar-



Biegać, skakać, tańczyć, pływać

Fotografa Ryana McGinleya oda do młodości, czyli dlaczego świat chce oglądać nieostre zdjęcia nastolatków tańczących na trawie

UBA DĄBROWSKI

Nowojorska noc. Narkotyki, bieganie na golasa, graffiti, deskorolka i seks. Lampa błyskowa, z pozorami niechlujnej kompozycji i czerwone oczy. Tak wygląda nielegalna wystawa 23-letniego fotografa Ryana McGinleya w opuszczonym budynku przy 420 West Broadway. Jest rok 2000, proponowany zestaw tematów doskonale znany, żeby nie powiedzieć zużyty, ale między pracami McGinleya a starszymi o kilka pokoleń podobnymi dokumentacjami Nan Goldin czy Larry'ego Clarka widać jedną różnicę. Prezentacja nie ma nic z mrocznej opowieści o wykołajeniach ze społecznego marginesu. Z tego samego zestawu elementów Amerykanin układa opowieść o niezakłóconej niczym euforii. Rzecz się nazywa „The Kids Are Alright” („Dzieciaki mają się dobrze”). Dzieciaki są głównymi gośćmi wystawy, McGinley szybko staje się gwiazdą nowojorskich hipsterów, nowej bohemy wyznaczającej trendy w muzyce i modzie.

Środowiskowa fama jednak nie wystarczy, McGinley chce wypłynąć na szersze wody. Projektuje i drukuje w liczbie 200 egzemplarzy katalog swojej nielegalnej ekspozycji. Połowę sprzedaje, resztę rozsyła do magazynów i kuratorów, z którymi chciałby pracować. Odzew jest natychmiastowy, Stany potrzebowały wizualnego głosu nowego pokolenia. Nasz bohater zaczyna fotografować dla największych tytułów – tych poważnych, jak „The New York Times”, i tych raczej rozrywkowych, jak „Vice”. Co najważniejsze i najbardziej spektakularne, w 2003 roku, w wieku 25 lat, jako najmłodszy artysta w historii ma indywidualną wystawę w nowojorskim Whitney Museum. Rodzi się gwiazda.

Małpka na wsi

Po ekspozycji w Whitney i związanym z nią medialnym szumie McGinley zastanawia się, jak nie wpaść w szufladkę hedonisty dokumentującego nocne ekscesy. Ucieka na wieś. Wynajmuje farmę w Vermont i zaprasza znajomych z Nowego Jorku. Miejskie dzieciaki biegają nago po lesie, tańczą na trawie, puszczają sztuczne ognie i wspinają się na drzewa. Sielanka. On fotografuje je malutką automatyczną yashicą T4. Okazuje się, że zestawienie przyporządkowanej do wielkiego miasta nowoczesnej, „amatorskiej” estetyki z przyrodą daje zaskakujące efekty.

Vermont wyznacza nowy kierunek. Fotograf zabiera ośmioro przyjaciół w podróż po Stanach. Stawia jeden warunek: mają

McGinley wzorem Richarda Avedona podróżował przez Stany również ze studiem portretowym



Nastoletnia Amanda, fioletowe kwiaty i łąki Iowa. Cały McGinley



Współczesna wersja buszującego w zbożu?

kuję swoje zdjęcia do najbardziej podstawowych, ponadczasowych form. Nie fotografuję konkretnych wydarzeń, tylko esencję jakiegoś doświadczenia - tłumaczy. I coraz bardziej oddala się od nocnych przygód w wielkim mieście. - Bardzo interesuje mnie amerykański mit podróży: Jack Kerouac, Robert Frank, „Easy Rider”. I filozofia mówiąca, że celem podróży jest sama podróż, twój dom jest tam, gdzie jesteś.

Podczas trzymiesięcznej wycieczki powstał romantyczny hymn na cześć bez troski, młodszej sielanki, w której czasami ktoś może obejrze sobie kolano, ale tak naprawdę nic złego nikomu się nie dzieje (w prawdziwym życiu jest inaczej, modelom zdarza się na przykład przedawkować heroinę). - Swój styl podsumowuję tak: estetyka i kolory z magazynu dla nudystów z lat 60. zmiksowane z pejzażami z katalogu firmy turystycznej i ak-



Statnio Amerykanin fotografuje swych modeli z ptakami - czy to żart ze... ..słynnej maksymy Hegla: „Sowa Minery wylatuje o zmierzchu”?



→ nie robić kłopotu przy rozbieraniu się do zdjęć.

Jadą z wybrzeża na wybrzeże i z powrotem. Zmieniające się krajobrazy: lasy, wodospady, rzeki, wydmy, a w nich banda dobrze bawiących się dzieciaków. W trakcie podróży zmienia się nie tylko sceneria, ale i podejście fotografa. - Tak bardzo chciałem robić zdjęcia, że nie mogłem czekać, aż sytuacja sama się wydarza. Czuję, że marnuję czas. Musiałem im pomóc i sam je sprowokować - opowiada „Przekroju”. - Miałem siedmioro rodzeństwa, byłem najmłodszy. Wychowywali mnie bracia i siostry, zawsze dużo się działo. Zaczęłem po prostu odtwarzać nasze szczeniackie przygody.

Wycieczka z McGinleyem

Z opowieści o konkretnej młodzieży w konkretnym miejscu zdjęcia McGinleya płynnie przechodzą w opowieść o młodzieży w ogóle. - Ograniczając scenerię do krajobrazu, redu-

tywnościami ze „Sports Illustrated” - żartuje. Znowu sukces. Artystyczny, środowiskowy, komercyjny...

Marzenia o lataniu

Od tamtej pory wycieczka z McGinleyem jest organizowana w zasadzie co roku. O ile na początku fotograf jeździł w trasę z kolegami i kolegami kolegów, o tyle teraz „spersonalizował się”, podróżuje z wynajętymi modelkami. - Zatrudniam osobę, która jeździ po świecie - po uczelniach artystycznych, festiwalach rockowych... Wybieramy głównie młodych artystów, dzieciaki, które rozumieją, o co mi chodzi, które chcą to robić i którym nie muszę wyjaśniać, dlaczego mają się rozbiierać przed obiektywem - tłumaczy. Oprócz rozrywki i sławy każdy uczestnik dostaje dniówki, wyżywienie i bilety na samolot. Budżet takiej wyprawy to około stu tysięcy dolarów. Produkcja z roku na rok robi się coraz większa. - Za każdym razem staram się znaleźć

inny pejzażowy klucz. Raz są to pustynie, raz jaskinie. Szukam miejsc, później z mapą i GPS jeździmy od jednego do drugiego.

Podczas podróży McGinley coraz bardziej pomaga rzeczywistości. Wozi ze sobą zestaw akcesoriów ułatwiających „spełnianie marzeń o lataniu”: trampoliny, materace do miękkiego lądowania i maszyny do produkcji kolorowego dymu. Pomimo produkcyjnego rozmachu wycieczkom udaje się zachować rockandrolowego ducha. Zdjęcia wykonywane są bez pozwoleń, zdarza się, że modele i fotograf muszą uciekać przed policją. Bywało, że rozebranym młodym ludziom nie udało się uciec i lądowali w areszcie. Z każdą kolejną wyprawą opowieść McGinleya uniwersalizuje się. Fotograf jest coraz bliżej stworzenia dokumentu z zawieszoną poza czasem i kulturą świata, w którym wszyscy są młodzi i szczęśliwi, kolory ładne, ludzie potrafią latać, przeżywa się mroźną krew w żyłach przygody, ale i tak wszystko kończy się dobrze.

Dzisiaj Ryan McGinley ma 33 lata i jest, jakkolwiek głupio mogłoby to zabrzmieć, żyjącym klasykiem. Jego zdjęcie znalazło się na okładce „Photography after Frank” Philipa Geftera, jednej z ważniejszych teoretycznych książek o fotografii ostatnich lat. Wpływ jego prac na młodzieżową estetykę (i gotowość do pokazywania nagiego ciała) pozostaje nie do przecenienia. W Ameryce jest gwiazdą, wystąpił w kampanii Marca Jacobsa, mówiono o nim nawet w serialu „Plotkara”. Z dnia na dzień staje się bardziej dorosły, ale jego modele zostają w sumie tacy sami - w tym samym wieku i z tym samym podejściem do życia. - Feministyczna pisarka Germaine Greer powiedziała kiedyś: „Młodym jest się tylko raz, ale niedojrzałym można pozostać na zawsze” - śmieje się fotograf. I coś w tym jest.

Ryan McGinley „Somewhere Place”
Galerie Gabriel Rolt, Amsterdam,
do 14 maja 2011 roku



FILM



W ferworze walki nauka idzie w las: Górę bierze zwierzęcy instynkt

Wojna lepsza niż dragi

Janusz Metz nakręcił świetny dokument o uzależnieniu od wojennej sławy i chwały

KAROLINA PASTERNAK

Wojna jest jak futbol – oświadcza rodzinie młodziutki rekrut Mads przed pójściem na front. – Części uczysz się na treningach, ale największą część podczas meczu”.

Na „mecz” Mads i jego kompani z oddziału (na oko większość nie skończyła 20 lat) zostają wysłani do duńsko-brytyjskiej bazy Armadillo w Afganistanie. Uczą się chodzić na zwiady i rozdawać afgańskiej ludności część swoich racji żywnościowych. Dowiadują się też, że w odróżnieniu od tego, co oglądali w filmach, wojna nie daje zbyt wielu okazji do walki. Ze częściej niż wroga zabijają się w Afganistanie nad-

miar wolnego czasu, grając na playstation lub oglądając porno. Gdy okazja do bohaterstwa wreszcie się nadarza, nie można jej przegapić.

Metz cierpliwie obserwuje życie w bazie. Nie wchodzi z żołnierzami w interakcje, pozwala, by głód walki wyszedł z nich sam. „Możecie liczyć na akcje” – gwarantuje witający rekrutów dowódca, rozwiewając obawy, że chłopcy wrócą z Afganistanu bez historii do opowiadania. I akcje wreszcie się zdarzają. Raz ofiarami padają cywile, innym razem rekruci. W jednym zamachu ginie afgańska dziewczynka, w innym zostaje ranny duński dowódca. Niedługo później bohaterów dokumentu dochodzą wieści o śmierci żołnierzy z zaprzęgniętego plutonu.

Gdy podczas jednego ze zwiadów chłopcy z Armadillo ścierają się z talibami, towarzyszący im z kamerami Metz i jego operator Lars Skree rejestrują scenę, której nie odtworzyłby sam Francis Ford Coppola, nawet z Marlonem Brando w obsadzie. Chaotyczne strzały, dezorientacja, panika, a przede wszystkim niemal

namacalny, zwierzęcy instynkt dorwania ofiary, któremu jeden z duńskich żołnierzy daje wreszcie upust, rzucając w dół, gdzie mieli kryć się talibowie, odbezpieczony granat.

Okrzyknięty wydarzeniem festiwalu w Cannes dokument Metz jak chyba żaden wcześniejszy wojenny film pokazuje, że jeśli wróciło się cało z frontu, głód adrenaliny wcześniej czy później z powrotem zaprowadzi człowieka na pole walki. W końcu nawet po najcięższej bitwie przychodzi czas na momenty chwwały. Te Metz i Skree także zarejestrowali. Chłopcy z Armadillo chwalą się przed kamerami unurzonymi w szlamie zwłokami talibskich ofiar i zdobytą bronią. Zupełnie jakby prezentowali Puchar Świata. Wojna jest jak futbol. A dokument Metz dowodzi, że grać się chce niezależnie od tego, ile razy trzeba będzie po drodze sfaulować.

„Armadillo – wojna jest w nas”, reż. Janusz Metz, Dania 2010, 100', Against Gravity, premiera 13 maja

„Lincz” rodem z „Faktu”

Fabularna rekonstrukcja linczu we Włodowie, czyli kino tabloidowe



Rencista terrorysta Wiesław Komasa

„Lincz” reklamowany jest jako najmocniejszy polski film od czasu „Długu”. Reklama jest dźwięgnią handlu, a jednak z „Długiem” dzieło Krzysztofa Łukaszewicza przegrywa na każdym froncie. O ile u Krauzego wydarzenia autentyczne stały się pretekstem do stworzenia metaforycznego dramatu, o tyle w „Linczu” publicystyka zdominowała kino ze szczeniem. Film rekonstruuje słyn-

ną sprawę linczu we Włodowie. Już od przywołanego w napisach paragrafu Kodeksu karnego temat staje się jasny. Jest nim słabość państwa, które nie potrafi zapewnić obywatelom bezpieczeństwa, a gdy ci biorą sprawy w swoje uzbrojone w noże i siekiery ręce, karze ich za pomocą biurokratycznej maszyny.

Razi w „Linczu” dydaktyzm, kliniczny przejrzystość racji pozbawionych dwuznaczności, czarno-biały rysunek postaci. Denerwują drętwe dialogi recytowane wprost do kamery. Wszystko to zabija wiarygodność, sprowadzając film na grunt stereotypu rodem z artykułów z „Faktu”. Zły jest tak zły, że już bardziej zły

Pieniądz śmierdzi

Nie oglądajcie tego filmu, nawet gdyby zapłacili wam „Milion dolarów”!

Kogo dziś bawią żarty ze sprzedawania duszy za nowy telewizor („na raty po sto złotych i z upustem!”), ze złych kopioracji (urzędnicza, która uratowała bank przed napadem, dostaje w nagrodę filiżankę, co popycha ją do kradzieży) albo z dziewczyn, które mają słabość do solarium i sztucznych paznokci? Polskę tipsiar, dorobkiewiczów, dziadostwa, wścibskich sąsiadek oraz piękności sniętych o karierze celebrytek zarówno kino, jak i papier wyśmiały już wielokrotnie. Film Janusza Kondratiuka miałby więc szansę na miano błyskotliwej satyry, ale w połowie poprzedniej dekady. Chociaż nawet wtedy raty ce byłyby wyższość i pogarda, z jakimi reżyser traktuje swoich bohaterów. Wszyscy oni – od starszej pani, która dziedziczy tytułową kasę, przez ciężarną urzędniczkę, która kradnie pieniądze i przelewa je na konto nienormalnego sąsiada, by je w ten sposób przejąć, po wszystkiej postaci drugoplanowej – są głupi, chciwi albo przynajmniej obłąkani. Spóźniona, przesłana i nieśmieszna komedia Kondratiuka jest jak milion, któremu zabrano dyndkę i zostały same zera.

 „Milion dolarów”, reż. Janusz Kondratiuk, Polska 2010, 103', Pro Film, premiera 13 maja

KSIĄŻKI

Dobry człowiek w piekle

Rewelacyjną biografię Jerzego Nowosielskiego powinni przeczytać nie tylko miłośnicy sztuki

TADEUSZ NYCZEK

Ze zdumieniem, z zaskoczeniem, z podziwem i zazdrością czytalem tę książkę, księgę właściwie. Najłatwiej wytłumaczyć zazdrość. Prawdziwa biografia to u nas rzadki ptak. Prawdziwą biografię pisze się latami i jest to katanga, której nie pojmie żaden górnik przodkowy. W Anglii czy Stanach na napisanie biografii wydawca przeznacza duże pieniądze, często biorąc autora podczas pracy na własny garnuszek, to wszystko kosztuje: podróże i hotele, miesiące albo i lata spędzone na rozmowach z dziesiątkami ludzi, wysiadanie w bibliotekach, szperanie w archiwach i korespondencji,

Przy tym rankingi krytyków rzadko się pokrywają z upodobaniem zwykłej publiczności... Poczytajcie w monografii Krystyny Czerni, co „zwykli” wierni z rozmaitych polskich kościołów i cerkwi myśleli i nadal myślą o polichromiach oraz ikonostasach Nowosielskiego, być może szczytach są obrazy, inne stordedowali jeszcze przed namalowaniem, a część istniejących, o czym monografistka pisze z prawdziwą zgrozą, po prostu niszczyły.

Jak opisać tę książkę? W dodatku kiedy się znało jej bohatera... Ale kiedy piszącemu te słowa wydawało się, że go znał... Zawsze na przykład myślałem, że czysta i święta harmonia, w imię której artysta tworzył swoje portrety, akty, abstrakcje, pejzaże i martwe natury, harmonia niechybnie boska, bo Nowosielski był może ostatnim wielkim malarzem religijnym naszych świeckich czasów, wzięła się z wiary w istnienie kosmicznego porządku świata. A tu okazuje się, że chyba większy w tym udział miała egzystencjalna rozpacz, z latami tylko rosnąca, która wadała duszą malarza. Trauma pochodzenia – był w połowie Ukraińcem i brał sobie do serca wiele konsekwencji bycia kimś takim pośród Polaków, a nie były to doświadczenia miłe i proste. Trauma wojennej zagłady żydowskiego getta, którego likwidację widział podczas dobrowolnego nowicjatu w lwowskim monasterze. Trauma kilkunastoletniej utraty wiary i potem nagłego jej odzyskania. Trauma niejasnych inklinacji erotycznych każących mu rysować kobiety niemal sadystycznie torturowane. Trauma właściwie szczęśliwego – a przecież coraz gorzej funkcjonującego związku małżeńskiego, przerywanego ucieczkami w platoniczne ramiona studentek i zakończonego jawną domową wrogością. Wreszcie trauma alkoholizmu, z którym borykał się przez prawie całe dorosłe życie.

Wygląda na to, że ów przemiły, łagodny człowiek, pedagog, o którym wychowankowie opowiadają w samych superlatywach, wielki artysta adorowany przez krytykę i publicz-

ność, wybitny teolog i znawca wielu religii im bardziej czuł się mieszkańcem piekła, z latami coraz głębszego, tym bardziej całą swoją sztukę poświęcał harmonii.

Oczywiście był szczęśliwy. Przejemność sprawiała mu nawet przekora, z jaką ogłaszał siebie heretykiem prawosławia. No i miał zawsze oparcie w Chrystusie, który jako odkupiciel cudzych (i własnych) win był mu wzorem i ostateczną instancją. Ale nie ten jasny, lecz ciemny Nowosielski – zwłaszcza na tle świetlistego malarstwa – jest największym odkryciem monografii Krystyny Czerni. Wszystkim się kiedyś wydawało,

że będzie idealnym artystą eksportowym. Tyleż tradycyjny, co nowoczesny, tyleż dekoracyjny, co metafizyczny, wspaniały kolorysta pełen magii i dyskretnego erotyzmu. A jednak świat go nie kupił. Widać tacy mu niepotrzebni... Więcej to mówi o świecie, niż się zdaje.



Krystyna Czerni „Nietoperz w świątyni. Biografia Jerzego Nowosielskiego”, Znak, Kraków 2011, s. 448, 59,90 zł

REKLAMA

Teatr Polski w Poznaniu

Termin nadsyłania prac 31 maja 2011

METAFORY 2011
RZECZYWISTOŚCI

IV Konkurs poświęcony polskiej dramaturgii współczesnej 10-11 września 2011

e-mail: konkurs@teatr-polski.pl
 www.metaforyrzeczywistosci.pl
 www.teatr-polski.pl

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

POZnań
 *Miasto Krowa-Nów



Mes po uszy zakochany w sobie

Rhythm'n' Bukowski

Kandydat na szaleńca? Na megalomana na pewno

Nie trzeba długo słuchać Mesa, by dostrzec, jak różni się od całej reszty polskiej sceny. Bo który inny raper personifikuje roztocza w swoim materacu, mówi o diable w spodniach mężczyzny, a „spojrzenia, które ukradł wilkom, zamienia na wzrok debila”? Zaden. Tak błyskotliwy w tej branży jest tylko Łona, ale nawet on mógłby pozazdrościć warszawiakowi imponującą elastycznością stylu. Gdyby oceniać tylko warsztat oraz zwykłą narracyjną biegłość, należałoby paść przed autorem „Kandydatów na szaleńców” plackiem. Tymczasem momentami trudno zmusić się choćby do klaskania. Wraz z podjętym pytaniem „Zamachem na przeciętność” Mes zaczął bowiem nachalnie lansować własną nieprzeciętność. Rozspiewał się aż nadto, rozpoczął szczeniacką, hedonistyczną krucjatę. Niestety, im dalej od swojej muzycznej macierzy, tym ma mniej wdzięku, gdyż doskonale wyczuł melodię łączącą się z słabym wyciuciem obciachu. Mam więc cichą nadzieję, że na następnym krążku obejdzie się już bez wzdychania do Bukowskiego, czerstwego drum and bassu serwowanego jako najświeższe danie, niepotrzebnych gitar, melodeklamacji oraz piosenek o kokainie.

MARCIN FLINT



Ten Typ Mes „Kandydaci na szaleńców”, Alkopoligamia

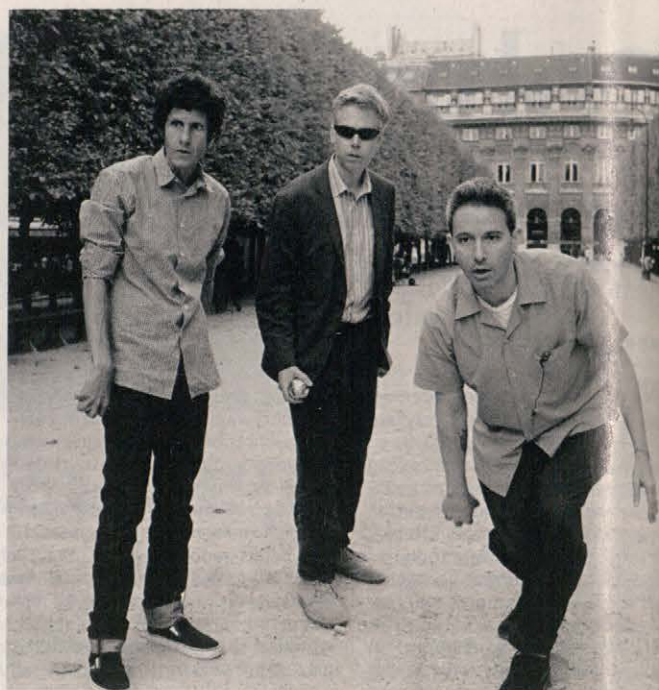
Nie muszą, ale chcą

Już szron na głowie, już nie to zdrowie, a w sercu ciągle rap

BARTEK WINCZEWSKI

To wielki komfort, ale i niebezpieczna pułapka – nic nie musieć. Komfort, bo po 30 latach na scenie Beastie Boys z nikim się nie ścigają i na dobrą sprawę mogliby już nawet nie nagrywać nowych płyt. Wszystko, co było do zdobycia, zdobyli w latach 80. W kolejnej dekadzie uciekli konkurencji tak daleko, że nikt nawet nie próbował ich gościć. Od tamtej pory wiodą wygodny żywot ojców chrzestnych wszystkich hipsterów świata i jeśli coś spędza im sen z powiek, to problemy w innej skali, jak niedawna choroba nowotworowa jednego z nich, a nie to, czy przebijają Lady GaGę pod względem liczby pobranych plików. Gdzie pułapka? Kiedy się niczego nie musi, z lenistwa łatwo popaść w rutynę i bylejakość, a trudno szukać nowych wyzwań, podniet i pomysłów.

I Beastie Boys rzeczywiście ich nie szukają. Co nie znaczy, że wykorzystując po raz tysięczny stare i nie zawsze najświeższe patenty, kary-



W studiu hip-hop, w parku – emeryckie rozrywki, czyli Beastie Boys dziś

katurują samych siebie. Co to, to nie – jeszcze nie tym razem. Na pierwszym od siedmiu lat albumie (wydany w 2007 roku w całości instrumentalny „The Mix-up” pomijam), w żaden sposób nie dają po sobie poznać, że cała trójka już dawno przekroczyła czterdziestkę. Choć szron na głowie, nowojorczycy grają tu z taką werwą, jakby zbliżali się co najwyżej do trzydziestki, a nie – jak w rzeczywistości – do pięćdziesiątki. To wrażenie o tyle nieprzypadkowe, że muzycznie „Hot Sauce Committee” to powrót do brzmień i rozwiązań, jakie na początku lat 90. słyszeliśmy na ich najlepszych płytach „Check your Head”



Beastie Boys „Hot Sauce Committee Part Two”, Capitol

Idealny koniec tygodnia

To nie jest nowe The xx, jak orzekły zachodnie media. Reszta się zgadza – to cholernie mocny debiut

oto pada jeden z ostatnich murów między tym, co mainstreamowe a alternatywne. Po której stronie jest tajemniczy The Weeknd? Od niego raczej się nie dowiemy, bo nie po to od miesięcy tworzy wokół siebie zagadkową aurę, by teraz grzecznie wszystko wyśpiewać. Na dostępnym za darmo w sieci debiutanckim materiale tym trudniej o jednoznaczny odpowiedź. Stojący za The

Weeknd 20-letni kanadyjski wokalista Abel Tesfaye teoretycznie należy do tego samego świata co jego popularny rodak Drake, swoją drogą główny promotor młodszego kolegi z Toronto. Tak jak i on The Weeknd śpiewa r&b, za wzór mając klasyczny pościelowy repertuar R. Kelly'ego, Jodeci i innych herosów gatunku z lat 90. Kłopot z tym, o czym śpiewa i co muzycznie dzieje się na „House of Balloons”. Sam-

ple z Beach House, obszerne cytaty z Siouxsie and the Banshees, ponura i niepokojąca elektronika inspirowana brytyjskim dubstepem z Burialem na czele. Główny nurt r&b i wszelkiej maści alternatywa nigdy wcześniej nie były tak blisko jak tutaj. Nie było także w tym gatunku płyty, na której tak dosadnie śpiewałoby się o seksie i narkotykach. Kto się wstydi, niech nie słuca. Tylko niech później nie narzeka, że nie było go przy narodzinach nowej gwiazdy.

BARTEK WINCZEWSKI



The Weeknd „House of Balloons”, www.the-weeknd.com

Sztuka ekspansji



Zasady strategii i taktyki, na których bazuje „Shogun 2: Total War”, nie tracą na aktualności od co najmniej 27 stuleci

Aż 11 lat czekaliśmy na następcę „Shoguna”, tytułu otwierającego świetny cykl strategicznych gier militarycznych „Total War”. Temperament i rutynę sterowanych przez komputer wrażeń generalów znów determinują zasady spisane przez Sun Tzu w „Sztuce wojny”, chińskim podręczniku wojskowości z VI wieku przed naszą erą. Zanim zacząłem rozgrywkę, odświeżyłem sobie tę lekturę, by zrozumieć przeciwnika („Poznaj siebie i poznaj wroga, zanim ten dotrze z szarżą do naszych szeregów, lub w których wystarczy zaznaczyć wszystkie jednostki i pchnąć je na słabszy odcinek sił przeciwnika, a potem miarowo wykańczać niedobitków. Sztuczna inteligencja potrafi zaskoczyć taktyczną pułapką, wykorzystać atuty aury i ukształtowania terenu oraz punktować nasze potknięcia. Zdarzyło się, że upojony zwycięstwem ochoczo ruszyłem swymi osłabionymi siłami w głąb terytorium wroga,

Jak zwykle przesuwanie armii na mapie, a także podejmowanie decyzji o rozbudowie kontrolowanych osad, szkoleniu żołnierzy, rozwijaniu zdolności generalów odbywa się w turach (odmierzanych porami roku), ale bitwy toczymy w czasie rzeczywistym. I są to starcia, w których liczy się nie tylko siła militarna, ale także inwencja oraz doświadczenie dowódcy. To nie jest jedna z tych gier, w których twórcy nie starali się o realistyczne odwrota. Nie wcielamy się w wodza, który stoi w obliczu zagrożenia. To my jesteśmy zarzewiem wojny, a celem jest podbój wszystkich prowincji XVI-wiecznej Japonii.

by wpaść w zastawione sidła – i stracić całą armię. A przecież Sun Tzu pouczał: „Pojaw się w miejscu, które [przeciwnik] musi przekroczyć, i zaatakuj z ukrycia wtedy, kiedy on się tego nie spodziewa”. Mój wróg przyswoił sobie tę lekcję. Ja nie. Staram się „rzucić swoje oddziały przeciwko wrogowi jak młyńskie kamienie przeciwko jajkom”, czyli przy istotnej przewadze i tylko wtedy, gdy warunki sprzyjają, albowiem „kiedy kły wilka rozdzierają ciało ofiary, dzieje się to z powodu ich ostrości i ataku na ofiarę w odpowiednim momencie”. Rzecz w tym, że przeciwnicy robią wiele, by mi w tych planach przeszkodzić, a wojaczki uczyli się z doświadczenia doświadczenia. „Shogun 2: Total War” nie pozwala na chwilę słabości i nie pozostawia wiele przypadków. OLAF SZEWCHYK

OLAF SZEWCHYK

„Shogun 2: Total War”, PC, The Creative Assembly, CD Projekt

Strzelanie przyziemne

Niewiele miejsca, więc nie będę się rozwodził. Wybitnie nie jest. Jest poprawnie. Rzemieślniczo solidnie, choć bez odrobiny polotu

Gra ma dwie zalety, które są też wadami. Jedną to polskość. No, względna polskość, bo „SOCOM: Polskie Siły Specjalne” w USA nazywa się już „U.S. Navy SEALs”. W ramach tej nazwości w SOCOM usłyszy my doktora nauk wojskowych generała Romana Polkę, który uczyni głosu jednej z głównych

postaci. No cóż... robi to tak, jak były dowódca GROM może dubbingować postać. Czyli zgrzebnie, choć fikuśnie. Druga zaleta „SOCOM” to sterowanie kontrolerem Move. A w szczególności Move'em zamontowanym w Sharp Shooterze – plastikowym biało-czerwonym karabinie ze świecą-

ką kulka na końcu. Tak, wygląda to idiotycznie, ale celowanie i prucie seriami w nieprawdziwych przeciwników daje ogromną przyjemność. Kłopot w tym, że o ile strzelanie jest tu cudne, o tyle poruszanie się toporne. A szkoda, bo w strzelance to jednak ważna sprawa. A sama rozgrywka? Właściwie nie ma o czym mówić. Postrzelałem, pobiegałem, zapomniałem.

OLAF SZEWCHYK

„SOCOM: Polskie Siły Specjalne”, Zipper Interactive, SCE, PS3, ok. 200 zł



Warszawskie Targi Książki



WARSZAWSKIE TARGI KSIĄŻKI

12-15 maja 2011

Pałac Kultury i Nauki, Warszawa

www.targi-ksiazki.waw.pl

organizator organizator wykonawczy

TARGI KSIĄŻKI SP. Z O.O. **murator EXPO**

Honorowy Patronat Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego

TELEWIZJA POLSKA VOX WARSZAWA **ESKA** **ROCK** **89.8 WAWA** **książki**

WŁADOMOŚCI KSIĘGARNIE **Notes** **Rynek-Książki.pl** **wydawca**

TYGODNIK POWSZECHNY **GOLOM** **książka.net.pl** **ama** **onka.pl** **wydawca**

murator **merlin.pl**

Plotka o Jaruzelu

„Generał” w Imce: szansa tyle wykorzystana, ile zmarnowana

JACEK SIERADZKI



Scena z rodzinnej psychodramy – Małgorzata Maślanka i Marek Kalita w „Generale”

Marek Kalita znakomicie „robi” Jaruzelskiego: kij od szcztoki zamiast kręgosłupa, okrągłe zdania monotonicznie staccatowane, jakby za czelka gadał wojskowy automat, kostywność rozbijana od czasu do czasu wytryskami inteligentnego humoru. Sylwetka trafiona jak rzadko. Czy o takie trafienie jednak chodziło?

Jarosław Jakubowski napisał rzecz nieczęstą w polskiej dramaturgii – groteskowo-złośliwe studium obsesji. Studium, można rzec, bernhardowskie, ze świadomością wagi komplementu. Niegdyś wszechwładny wielkoryząca znanego nam kraju, dziś zamknięty w willi, wokół której krążą demonstranci, przywołujący procesem sądowym, żyje tym,

co wyrzuci z siebie w szpazmatycznych monologach. Międlu w kółko tyrady obrończe, parska na świat, który mu się znarowił, tyranizuje, kogo się da. Męczy i tumani, upajając się wystudiowaną pozą uciśnionej niewinności i nienagannego dżentelmena. Sztuczny i żalony, godzinami litości i pogardy, niewolnik i pan własnych fantazmatów.

o o o o

„Generał” Jarosława Jakubowskiego, reżyseria Aleksandra Popławskiego i Marek Kalita, scenografia Katarzyna Adamczyk i Aleksandra Popławskiego, kostiumy i charakterystyka Katarzyna Adamczyk, muzyka Jacek Grudzień, Teatr Imka w Warszawie

Witkacy w wersji pop

„Pożegnanie jesieni” we Wrocławskim Teatrze Współczesnym poświęca wszystko na rzecz dobrej zabawy

Książkę mam na półce, liczy ponad 400 stron. Można tę cegłę czytać jako powieść metafizyczną, rzecz o końcu starego świata i lęku przed rewolucją, wreszcie jako miłośną tragikomedię pełną ironicznymi cytatami z klasycznych romansów początku ubiegłego stulecia. Można też próbować przekładać ją na język hipnotycznie działających obrazów. Zadanie trudne, ale wykonalne, co udowodnił w świetnej filmowej adaptacji Mariusz Trelński.

Spektakl niespełna dwugodzinny, akcja gna niczym Messi do bramki Realu. W centrum zdarzeń jest Hela Bertz (świetna Marta Malikowska-Szymkiewicz) – istna hetera, prowokacyjna, beczelna, gotowa wykorzystać swe cielesne powaby. Wokół krążą mężczyźni niemal metroseksualni, czyli Atanazy (Michał Szwed) i Prepudrech (Krzysztof Zych), pokraczni w miłosnych podrygach. Jest jeszcze zaręczona z pierwszym Zosią (zjawiskowa Aleksandra Dytko) – na pokaz składa ręce do modlitwy, ale za chwilę podwinie długą suknię i rozpocznie wcale nie niewinne igraszki. Sieklucki skupia się na historii miłosnego czworoka, cały czas puszczając oko do widza. Aktorzy z Malikowską-Szymkiewicz i Krzysztofem Boczkowskim (zblazowany Łohowski, gej i arystokrata) na czele bawią się swymi postaciami,



Łohowski (Krzysztof Boczkowski) rusza w tany, inni tylko patrzą. Na razie...

JACEK WAKAR

mi, czasem rysują je karykaturalną kreską. Sieklucki chętnie aranżuje tańeczne sceny zbiorowe, inkrustując je całkiem współczesnymi przyspiewkami. Dobrze się to ogląda, nie ma się chwili na zastanowienie, gdzie w tych wszystkich płasach jest niejaki Witkacy. Co prawda w podtekście mamy temat wyobcowania – Hela walczy z kompleksem żydowskiego pochodzenia – ale na koniec pozostaje tylko zabawa. I nawet mi to nie przeszkadza. Bo czasem lubię obejrzeć spektakl na pewno

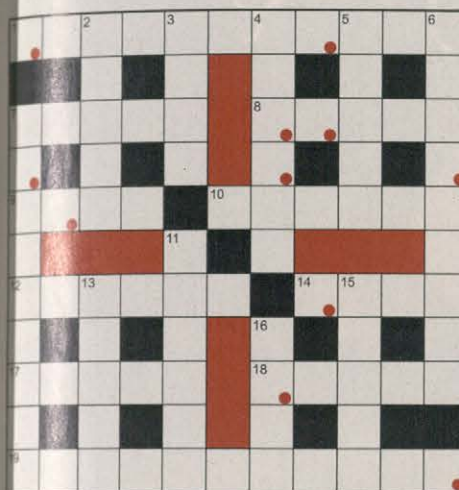
o o o o

„Pożegnanie jesieni” według Stanisława Ignacego Witkiewicza, reżyseria Piotr Sieklucki, adaptacja Tomasz Kireńczuk i Piotr Sieklucki, scenografia i kostiumy Łukasz Błajejewski, choreografia Mikołaj Mikołajczyk, opracowanie muzyczne Marzena Ciula, Wrocławski Teatr Współczesny

ROZMAITOŚCI

KRZYŻÓWKA NR 19

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.



POZIOMO:

1. STOI NA STACJI
7. TRYSKA ZDROWIEM
8. POZWALA BYWAĆ W TOWARZYSTWIE
9. U TUB
10. SKĄD PLYNIE KRA
12. W DOMU CHŁOPA
14. MIĘDZY INNYMI I MIĘDZY NAMI
17. PÓJŚCIE DO KOŚCIOŁA NA GOLASA
18. PSEUDOKIBIC
19. CZYTELNICZKA ŁOSOSIOWEJ PRASY

PIONOWO:

2. NAJWIĘKSZY JAJCZARZ
3. CODZIENNE NOWY ODCINEK
4. PODOFICER WOBEC FALI
5. MAJOWY ALEKSANDER HENRYK
6. KOŃCZY PRZYJAŃ
7. MGLISTE POJĘCIE
11. GDZIE PIERZE
13. OZNACZA WOLNOŚĆ
15. MISTRZ PODRYWU
16. GDZIE SĄ MOJE OKULARY?

Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO.KRZYZOWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 19”.

Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 15 maja 2011. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swych danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również zgłoszenia zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

SKLEP INTERNETOWY

amazonka.pl

książki, muzyka, filmy, gry

ponad milion tytułów.
najniższe ceny w Internecie.
Dostawa w 24 godziny

Nagrodą za rozwiązanie krzyżówki jest **10 bonów** – o wartości **50 zł** każdy – na zakupy w sklepie internetowym www.amazonka.pl

www.amazonka.pl

ROZWIĄZANIA Z NR. 16/17

Przytłok: KARUZELA

Poziomo: 1. BICIE PIANY
PIONOWO: 7. ATAKUJE
PIONOWO: 8. METODA USTA-USTA
PIONOWO: 9. LATWO JĄ NABRAĆ – ZUPA
PIONOWO: 12. WZIELENIE PRZEZ JEDEN
PIONOWO: 14. WZIELENIE PRZEZ JEDEN
PIONOWO: 15. SKOŚC
PIONOWO: 17. TAKTOWNY
PIONOWO: 18. DOBRA ZŁA
PIONOWO: 19. NAPRAWA USTĘPU

Pionowo: 2. PRZEDNIA HISTORIA
– WSTEP 3. WOJSKOWY GARNUSZEK
– WIKT 4. ODGŁOS ROZRYWANYCH
DRESÓW – RECHOT 5. NA GRZBIECIE
NASZEJ SZKAPY – TYTUŁ
6. PEWNIEN PAN SUKCESU – OPTYMISTA
7. KUPIŁ „PRZEKRÓJ” – BIZNESMEN
11. MA PSA UROK – SZAKAL
13. JAK GO ZNASZ, JESTEŚ NASZ
– ODZEW 15. ZIARNKO DO ZIARNKA
I ZBIERZ SIĘ MIARKA – KWARC
16. GRUB – TUZ

LAUREACI Z NR. 15

Krzyżówka:
Jadwiga Duklas, Warszawa;
Krzysztof Filuś, Kraków;
Stanisław Komisaruk,
Szprotawa; Barbara Krochta,
Jemielno; Danuta Morawska,
Gorzów Wlkp.; Anna Nikla,
Starogard Gdański; Hanna
Pietrasiewicz, Zielona Góra;
Danuta Rączkowska, Wrocław;
Piotr Sosnowski, Warszawa;
Magdalena Tarasiewicz,
Warszawa

KAWKA I PAPIEROSKI

Nowy serial „Kawka i Papieroski” z aktorami kreacjami Iwony Sitkowskiej i Jakuba Bohosiewicza co tydzień na www.przekroj.pl oraz w aplikacji „Przekrój” na iPadzie dostępnej w App Store



JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA

Zając w śmietanie

Pisałem do przewodnika Pascala „Polska na weekend” kilka słów o Krakowie. O moim Krakowie. Wróciły wspomnienia. Tu chodziłem do liceum ojców pijarów przy ulicy Czapuskich. Tu mieszkalem w internacie przy Pjarskiej. Pjarska... Parę kamienic, kościół, pałac Czartoryskich, hotel Francuski. To z okien internatu podglądałem gości stojącego naprzeciwko „Francuza”. To w nim zatrzymywali się moi rodzice, gdy odwiedzali mnie w szkole. Tam jadałem z nimi obiady i czasami kolacje. Realizując ostatnio program „Wściekle gary” dla TVP1, trafiłem do restauracji Pod Bażantami, założonej w latach 70. i do dziś prowadzonej przez Piotra Witkosia, legendarnego starszego kelnera i *maitre d'hôtel* hotelu Francuskiego. Pytałem, czy pamięta smak potraw tamtego „Francuza”. Wówczas szefem kuchni był genialny kucharz o nazwisku Niemiec. To on kaczka pieczoną z jabłkami zdobył dla Polski pod koniec lat 60. złoty medal na Światowym Festiwalu Kulinarnym w Meksyku.

lejne pięć dni. Wkładamy do lodówki i codziennie przewracamy. Tak skruszałe mięso szpikujemy cienkimi paskami słoniny, przyprawiamy grubą solą i sotujemy (obsmażamy) przez 15 minut na sklarowanym maśle. Przez kolejne 30 minut dusimy, podlewając marynatą. Podduszone mięso wkładamy do pieca (temp. 180 stopni Celsjusza) i pieczemy w brytfance około godziny, często podlewając powstałym sosem. Na koniec zalewamy zająca z litrami gęstej wiejskiej śmietany, doprawiamy solą i pieczemy i pieczemy przez kolejne 40 minut. Zając powinien być kruchy, mięso musi odchodzić od kości, a sos powinien być zawiesisty. Podajemy z tartymi buraczkami zasmażanymi z cebulką i purée z ziemniaków.

Czy pamiętam? Do końca życia będę pamiętał smak zająca w śmietanie, którego jadłem w hotelu Francuskim 31 sierpnia 1970 roku. To była wigilijna kolacja przed pierwszym dniem szkoły. Oto ten zając:

Program „Wściekle gary” Adama Gesslera oglądajcie w soboty o 17.30 w TVP1

ZAJĄC PO POLSKU

Oskórowanego zająca dzielimy na części. Skoki i comber oczyszczamy z błon, płuczemy i marynujemy na minimum tydzień. Pierwsze dwa dni zając powinien kruszeć w sklarowanym maśle. Potem przekładamy go oplukanego do marynaty. Przepis na marynatę: 200 ml wywaru z grzybów, 10 ziarek jałowca, 2 gałązki tymianku, pęczek młodej włośzczyzny, 10 ziarek pieprzu. Gotujemy wszystko na wolnym ogniu około 15 minut, po czym schładzamy i dodajemy 200 ml mocnego czerwonego wina i 50 ml dobrego octu winnego. Po schłodzeniu i odczuciu marynaty zalewamy nią zająca na ko-

BRACIA M

MARTOSZ I TOMASZ
BINKIEWICZ

www.facebook.com/wilqsuperbohater



Spotkanie z ciekawym czelonikiem



ŁADNE RZECZY

Zaobraczkuj się



Czyli coś dla gołąbków. Przepraszamy, dla państwa młodych

OLA SALWA

Wielkimi krokami zbliża się sezon ślubny lato-jesień 2012, a nawet 2013 – tak, tak, w końcu nikt poważny nie przeznaczają na organizację tej uroczystości mniej niż 12 miesięcy – więc to ostatni dzwonek na... właściwie wszystko. Rezerwację sali, zamawianie fotografa, ustalanie menu, pierwszą kłótnię o wybór kwiatów, rozpoczęcie uprawiania sportów, aby do dnia składania przysięgi małżeńskiej nie zwariować, i tak dalej. Wszystko po to, aby zaprezentować sobie oraz setce bliżej znanych (a czasem i nieznanym) krewnym i przyjaciół, jak wygląda nasz najpiękniejszy dzień w życiu.

Niestety, nie każdego stać na zafundowanie wszystkim rodakom dnia wolnego, zatrzymanie ruchu w centrum miasta lub choćby sukienkę z domu mody Alexandra McQueena, ale to nie znaczy, że nasz ślub jest skazany na nudę i banał. Nawet w tradycyjnej formie (biała suknia, Urząd Stanu Cywilnego/kościół, wesele z zespołem grającym na tę samą nutę wszystko od „Białego misia” po „Nothing Else Matters”) możemy zrobić ekscentryczną wyrwę. Jak? Udzivnić najcenniejsze fany



Wokół ślubu: złote obrączki Kiley Granberg (1) dla fanów prac domowych; pierścionki zaręczynowe z bogatym wnętrzem, czyli Orgone Ring Marca Newsona (2), oraz Forever Yours Ineke Hans (3); obrączki na złamane serce Alyssy Dee Krauss (5) oraz spersonalizowane przez odcisk kciuka (4) i zaprojektowane w rytmie serca (6) – oba wzory autorstwa Andrzeja Bielaka

w grze „Żyli długo i szczęśliwie”, czyli pierścione zaręczynowe i obrączki.

Karaty Cartiera, Tiffany’ego albo nawet rodzimego W. Kruka zostawmy bohaterom komedii romantycznych lub konwencjonalnym kuzynom, a sami idźmy na żywioł. Biżuteria w kształcie plastra, wejścia do komputera typu cat5 (dla pani, dla pana – końcówka kabla) czy kwadratu to odświeżająca odpowiedź na monotonię krążków. I codzienna przypominaj-

ka, że nasz ślub był naprawdę wyjątkowy. Seryjnym państwu młodym polecamy eks-tremalny recyklng. Jeśli byłeś już głównym bohaterem czterech wesel, pogrzeb w szpa-gałach i wyluskaj obrączkę z poprzedniej ceremonii. W końcu sam wiesz najlepiej, że inwestycja długoterminowa to w twoim przypadku pomyłka, a zaoszczędzone pieniądze przydadzą się na fajny miesiąc miodowy albo splaćenie prawnika.



Hitler w kosmosie...

...a może tuż obok, tu i teraz?



LUKASZ ORBITOWSKI

Spełniło się moje największe marzenie. Mam tajnego informatora! Jest prawdziwy i śliczny: ma bluzę z kapturem, tatuaże wszędzie oraz ubytki w uzębieniu przednim powstałe wskutek nazbyt zapalczywego wgrzyzania się w prawdę.

Spotykamy się w kazamatach Nowej Huty i w opustoszałych wieczornych tramwajach sunących ku tajemnicom zurbanizowanego świata. Mówi bardzo cicho i raczej niewiele: wspomina o rasie jaszczurów żyjącej na Ziemi przed ludźmi. Wszyscy mamy cząstkę ich genów, ze mną włącznie. Informator radzi mi, bym rozdrapał sobie skórę w poszukiwaniu łuski, wciska w łapy teczkę z tajnymi materiałami i uchodzi pośpiesznie, pozostawiając po sobie opary ledwo przetrzawionego alkoholu. Dzięki Ci, Stwórco Miłosierny, obo wreszcie jestem jako ten agent Mulder!

Sprawdzam, czy nikt mnie nie śledzi, wpelzam do najbliższej jamy i tam, przy skąpym świetle zagłębiam się w tajne informacje. Wartość sfatygowanych kserokopii jest obniżona przez niemożność określenia źródła. Niewątpliwie są to strony z czasopisma „Nieznany Świat”, lecz brak stopki uniemożliwia wskazanie konkretnego numeru. Dostałem też wydruki stron internetowych oraz kilka notatek nakreślonych w pośpiechu, zapewne w złowrogim cieniu pistoletu skrytobójcy. Rozumiem już, dlaczego informator przekazał mi te skarby: niedawno mieliśmy rocznicę zakończenia II wojny światowej, a nikt nie wie, o co naprawdę toczyła się gra.

Przypuszczalnie Adolf Hitler po raz pierwszy zobaczył UFO już w 1913 roku. Dowodem nawiedzenia jest obraz namalowany przez przyszłego Führera przed-

stawiający Madonnę z Dzieciątkiem, machniętych zresztą w niepokojącej poetyce właściwej dla sztuki świadków Jehowy. W tle mrugają jakieś promyki koncentryczne, które bez zdobytych wcześniej informacji wziąłbym za słońce. Gdzie tam! William H. Carpenter z Foundation for Extraterrestrial Research & the Arts nie ma wątpliwości: toż to statek kosmiczny pełną gębą międzygwiazdną!

Te same ufoludki pomogły Adolfowi zdobyć władzę i przekazały stosowną technologię na potrzeby wojny, co znów tłumaczy rozpaczliwą walkę nazistów niemal do ostatniego naboju. Dyski bojowe ozdobione swastyką przechodziły ostatnie testy bojowe w dziewięciu tajnych ośrodkach, a przede wszystkim w wielkiej bazie na Antarktydzie, czynnej zresztą do dzisiaj. Hitler przeciągał walkę, pozornie tylko beznadziejną, z uwagi na tę wunderwaffe, której prototyp fruwał już nad Kurskiem. Wypuszczone do masowej produkcji zamieniłyby Polskę, Moskwę, Londyn w malownicze gruzowiska. Zabrakło miesięcy. Może tygodni. Może dni.

Wątek ufologiczny na stałe wkomponował się w historię II wojny światowej. W powieściach Harry’ego Turtledove’a „Wojna światów” (w Polsce ukazał się tylko tom pierwszy) inwazja kosmojaszczurów na początku lat 40. prowadzi do dziwnego sojuszu między aliantami a Rzeszą. Spisek kosmiczny rozpracowywany przez mojego starszego kolegę z „Archiwum X” również miał korzenie nazistowskie, choć w tym wypadku mamy do czynienia ze spóźnionym wyrzutem sumienia po zatrudnieniu Wernhera von Brauna. Wreszcie nadawany przez stację ABC serial „V-Visitors” powraca do gadziej tematyki. Seksowne kosmitki skrywają łuskę pod ludzką skórą i tylko czekać, aż zaczną się mścić za dinozaury.

Śmieję się, Łukaszu – rzeźbę mój informator – ale pewnego dnia na twoim podwórku wyłduje statek kosmiczny, wyjdzie z niego jaszczurek wysoki na metr z kawałkiem, o szarym pysku i wielkich oczach, wyrzuci wysoko łapkę swą marsjańską i huknie: „Heil Hitler!”. Co wtedy zrobisz, Łukaszu, no co?



Zanim generał Jaruzelski zostanie skazany, może zostać przez biologię zabity i to jest poważne zmartwienie, a nawet klęska.

Niby tak to w sensie ścisłym wygląda, ale może nie trzeba załamywać rąk?

Może nie należy od razu się poddawać? Z każdej bezwyjściowości jest jakieś wyjście i w tym wypadku być musi

28 KWIETNIA

W związku z sądowym uniewinnieniem generała Kiszczaka od zarzutu bezpośredniego przyczynienia się do masakry w kopalni Wujek w mediach lawina komentarzy, a także – naturalny w tym kontekście – powrót do wątku wciąż nieskazanego i wciąż nieukaranego Wojciecha Jaruzelskiego.

Wszystkich wypowiedzi – rzecz jasna – ani dokładnie nie śledzę, ani nie słucham, moja pasja to nie jest; całkiem jednak uciec przed tym niepodobna, niektóre zresztą frazy mają taką siłę i taką lekkość, że same z siebie wypływają na wierzch, same rzucają się na wzrok, słuch, a może i na inne zmysły. Oto widzę na ekranie telewizora ważnego jakiegos aktora sceny politycznej, który z najszczerzą goryczą i prawdziwym smutkiem oświadcza, że jeśli chodzi o generała Jaruzelskiego, to – zważywszy i na jego wiek, i na stan zdrowia – należy się liczyć z okolicznością, iż „wymiar sprawiedliwości przegra z biologią”. Tak dokładnie. Zanim generał zostanie skazany, może zostać przez biologię zabity i to jest poważne zmartwienie, a nawet klęska.

Niby tak to w sensie ścisłym wygląda, ale może nie trzeba załamywać rąk? Może nie należy od razu się poddawać? Z każdej bezwyjściowości jest jakieś wyjście i w tym wypadku być musi. Może czyniąc pewne wysiłki, da się uniknąć kolejnej przegranej? Może na przykład są jakieś sposoby intensywniejszego leczenia, a nawet odmładzania generała? W końcu żyjemy w epoce kultu młodości, sprawności i zdrowia wiecznego, ergo w epoce niezliczonych środków, wynalazków, specyfików, sposobów i zabiegów młodość przywracających, sprawność podtrzymujących, wszelkie dolegliwości i choroby leczących.

Ma się rozumieć, koszta to mogą być znaczne, ale przecież nie w takich sprawach publiczne zbiórki i inne narodowe ściepy organizowano! Ludzie sprawą zaabsorbowani, ludzie, którym prawdziwie dobre imię wymiaru sprawiedliwości na sercu leży, powin-

ni się tym praktycznie zająć, powinni – jest to jedyne wyjście – o zdrowie i życie generała naprawdę zadbać. Niechaj powstają odpowiednie stowarzyszenia i koła dokarmiania, witaminizowania i innego wzmacniania nieszczęsnego dyktatora.

Srodzy zwolennicy surowych – bo jedynie takie będą sprawiedliwe – rozliczeń z PRL powinni śmiało do kieszeni sięgnąć i parę groszy na zagraniczne leki dla Jaruzelskiego wysupłać. Może w ogóle jest potrzebne leczenie za granicą? W takiej sytuacji Komitety Obrońców Wymiaru Sprawiedliwości przed Biologią byłyby mile widziane; prawdę powiedziawszy, już się powinny zarówno w Warszawie, jak i w terenie zawiązywać i działać! Tak jest, panie i panowie: działać, działać i jeszcze raz działać! Wszelkimi sposobami – za pomocą loterii, aukcji, sprzedaży cegiełek i czego tam jeszcze – gromadzić fundusze i na wiadomy cel je przeznaczać! Generał nie może was przechytrzyć, nie może się bezkarnie i jak gdyby nigdy nic na tamten świat wymknąć, musi w jakiejś takiej fizycznej sprawności i zwłaszcza umysłowej przytomności wyroku doczekać! Czas doliczony ma trwać tak długo, aż wygrają nas! Ale nad tym trzeba pracować i modlić się o to! Pracujcie przeto nad zdrowiem generała i módlcie się o jak najdłuższe dlań życie, módlcie się, w końcu teraz macie do kogo; On pomoże z pewnością, On modlitw, zwłaszcza takich, wysłucha, On w końcu w aliansach z generałem bywał.

29 KWIETNIA

Historia zna wprawdzie przypadki odkopywania grobów, wyjmowania z nich zwłok rozmaitych dostojników i stawiania ich przed sądem. Za życia – zdaniem odpowiednich stronnictw – niedostatecznie ukarani, niech teraz przynajmniej ich trupy bekną. Historia powszechna, owszem, nawet historia Kościoła katolickiego zna takie zdarzenia, nasza – nie. Nasze dzieje mdłe i gnuśne, brakuje im – jak dzisiejszy wieszcz głosi – krwi, królo-

bójstw i innych domowych egzekucji; nasz naród przebiegły i cwany, publicznie srogo grozi, prywatnie oko puszcza, oficjalnie wariacki, w domach normalny, w sumie nieco bez zasad. Podobno dopiero teraz coś wisie w powietrzu – nie bardzo chce się wierzyć.

1 MAJA

W świetnej serii wydawnictwa Sici – „Wielcy pisarze w nowych przekładach” – czytam przełożoną przez Renę Śliwowskiego „Nieciekawą historię” Czechowa. Bez wątpienia kiedyś już to czytałem, ale jak w przypadku większości „kiedyś” przeczytanych książek, nie pamiętam nic.

Główny bohater i narrator – swego czasu sławny profesor, dziś „bezbarwny i szkaradny” śledziennik – snuje refleksje na różne tematy. Przytaczam linijki poświęcone teatrowi. „Nie wiem, co będzie za pięćdziesiąt lat, lecz w obecnych warunkach teatr może służyć jedynie jako rozrywka. Jest to jednakże rozrywka zbyt droga, by z niej korzystać. Pozbawia państwo licznych młodych, zdrowych i utalentowanych mężczyzn i kobiet, którzy gdyby nie poświęcili się teatrowi, mogliby zostać doświadczyć brymami lekarzami, rolnikami, nauczycielami, oficerami; pozbawia publiczność chwil wieczornych, najlepszej pory do pracy umysłowej i rozmów towarzyskich. Nie mówię już o stratach moralnych, które ponosi widz, gdy widzi na scenie nieodpowiednio traktowane morderstwo, cudzołóstwo czy oszczerstwo”. I jeszcze taka perła: „Moim zdaniem jeśli sztuka jest dobra, to żeby przyciągnęła należytą uwagę, nie ma potrzeby fatywować aktorów: wystarczy sama lektura”.

Niby starczy ekscentryzm na granicy głupoty, ale jak jednym – być może nieco za prostym – ruchem dźwigni przenieść te spostrzeżenia na grunt dzisiejszego teatru politycznego? To ho, ho! W sensie ścisłym wystarczy „sama lektura”, a i ona zbyt techniczna.



Archiwalne felietony Jerzego Pilcha na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie

Zbieżność nazwisk



Warto być otwartym na rzeczy nieoczekiwane. Jak Damian Kramski w Afganistanie

KUBA DĄBROWSKI

Sierpień 2007 roku. Fotograf „Gazety Wyborczej” Damian Kramski wybiera się w swoją pierwszą podróż do Afganistanu. – To było jak spełnienie marzenia – opowiada. – Wychowywałem się na fotografiach Krzysztofa Millera i Jamesa Nachtweya. Konflikty, akcja... Zawsze chciałem się w tym sprawdzić. Zniszczony Kabul, przygaszone piaskowe kolory, mizernie w tym wszystkim... Tak to sobie wyobrażałem.

W Afganistanie fotograf ląduje w Bagram, gigantycznej bazie nieopodal Kabulu, centralnym punkcie przesiadkowym wojsk koalicji. Okazuje się, że wojenne wyobrażenia są bardzo dalekie od rzeczywistości. – To był szok. Zamiast na front trafiłem do amerykańskiego miasteczka w środku ogarniętej wojną pustyni. Przy głównej ulicy supermarket z ogromnym wyborem ciasteczek i gier na playstation. Kawiarnia, Burger King i Pizza Hut, a nawet salon Harleya. Po chodni-

kach przechadzają się zadbane amerykańskie dziewczyny w krótkich spodenkach, z karabinami na ramieniu. A pomiędzy tym wszystkim wyrwana jakby z innych czasów afgańska obsługa bazy – wspomina.

W oczekiwaniu na dalszy transport Kramski spędza w Bagram kilka dni. Nie fotografuje, czeka na akcję. W końcu dociera do polskiej bazy w Wazacha w prowincji Paktika, gdzie poznaje prawdziwy smak konfliktu i robi prawdziwe wojenne zdjęcia (fotografuje na przykład ostrzał wioski Nangar Khel).

Powrót do Polski znowu wymaga przesiadki w Bagram. Transport wojskowy działa inaczej niż cywilne linie lotnicze, nie ma rezerwacji miejsc na konkretny lot, trzeba cierpliwie czekać na swoją kolej. Fotograf codziennie o wyznaczonej godzinie z kompletnym bagażem stawia się na płycie lotniska. Za każdym razem jednak okazuje się, że jest ważniejsze cargo i ma spróbować następnego dnia. – To był dziwny stan zawieszenia, nikt nie wie-

dział, ile on potrwa. Pomyślałem, że skoro nie mam wpływu na datę odlotu, to powinienem ten czas w Bagram jakoś wykorzystać i zrobić jeszcze jeden temat.

Kramski postanawia sфотографować tę dziwną bazę, karykaturę Ameryki nieopodal Kabulu. – Kupiłem sobie sakwę na zużyte magazynki, chowałem w niej aparat i chodziłem na spacer. Trafiłem między innymi do kina i na potańcówkę w stylu country. Musiałem się gęsto tłumaczyć, żołnierze rozumieli, że chcę robić zdjęcia na froncie, ale nie widzieli nic ciekawego w codziennym życiu bazy. Byłem dla nich podejrzany.

Na samolot do Warszawy Kramski czeka trzy tygodnie. Głównym obszarem zainteresowania fotografa jest centralna arteria bazy – Disney Road, nazwana tak nie na cześć twórcy Myszki Miki, ale kaprala Jasona A. Disneya, amerykańskiego żołnierza poległego w Afganistanie. Zbieżność nazwisk przypadkowa.



6 x więcej

NAJLEPSZE STRONY SUKCESU w nowej, niższej cenie

Majowy magazyn „Sukces” możesz kupić w kioskach, salonach prasowych, na Przekroj.pl oraz w App Store (aplikacja „Przekroj”)

Zobacz więcej: Przekroj.pl i App Store



nowa atrakcyjna cena 6,90

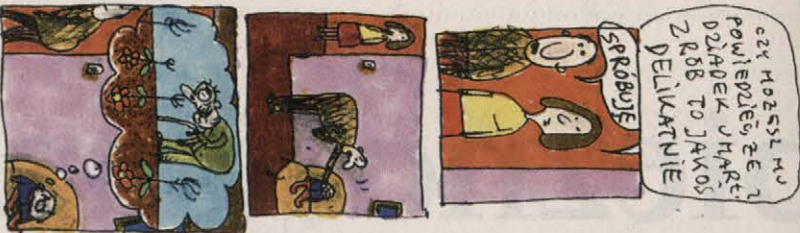
OBCO-KRAJOWCY W POLSCE Odnieśli sukces. Realizują marzenia

MARIETA ZUKOWSKA Opetane zakonnice z klasztoru Betanek

ŻYCIE PO ŻYCIU Czyli jak zejść ze sceny z klasą



RACZNI DWARCI NA KONIEC



W nowojorskim domu aukcyjnym kłębili się tłum. Kolekcjonerzy sztuki łakomie spoglądali na wystawione w gablotce roczniki „Przekroju”. Zaraz usłyszą szelest pożyczeky stron. Za chwilę dostaną ten skarb w swoje ręce...

RETROSPJEKJA

Król pod mucha

MIŁO WIE Wrocławiu ogłosza...
To się nazywa królewsko-historyczny zbieg okoliczności! A waszytło przed...
(Redakcja: J. Burliński)

O WACUSIU

— Dziś, kiedy ko-
bieta nie ma co na
siebie włożyć, idzie
na plażę.

W przeciwności

„Sztandar Młodych” w in-
...
(Redakcja: J. Nowak)

„Przekroj” z 20 lipca 1974 roku



„Przekroj” z 8 sierpnia 1948 roku

AKUSZERSKI SZLAK

W numerze 122 „Przekro-
...
(Redakcja: J. Wojciechowski)

„Przekroj” z 30 sierpnia 1970 roku



Krzyk 4

Występują:
bezdzielny
GŁOS Z TELEFONU
oraz aż nadto dzielna
SIDNEY PRESCOTT

Wieczór. Telefon. Groza.

GŁOS Z TELEFONU (chrapiawie):
Pamiętasz mnie, baby?

SIDNEY PRESCOTT:
(krzyczy)

GŁOS Z TELEFONU:
A pamiętasz, jak się
ongdał zabawiałśm?

SIDNEY PRESCOTT:
(krzyczy, po puźnie krzyczy
ponownie)

GŁOS Z TELEFONU:
Nie miałabys ochoty
na małą powtórkę?

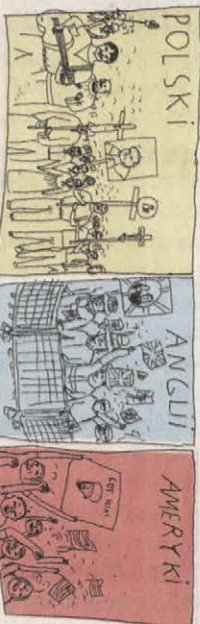
SIDNEY PRESCOTT:
(krzyczy po raz czwarty
i - obły - ostatni)

KURTyna zapada
bezzmerowo.

Archiwalne numery „Przekroju” można...
www.przekroj.pl

Przekroj.pl
i App Store

NIE TAK: JAN KOZA RADOŚĆ NA ULICACH



Lepszy mord niż sąd

ROMAN KURKIEWICZ

Czym się różni terroryzm państwowy od zwykłego? Tym, że udaje, iż jest cnota, sprawiedliwości, a nie zbrodnia.



LEMO MYSLINE

A merykanie lecą, kiedy chcą, zabijają, kogo, kiedy i jak chcą. I oczekują oklasków. I je otrzymują. Od swoich przed Blahym Domem, od przywódców innych państw, od milionów obywateli „wolnego” świata. Zaskóży, że Osama ben Laden jest odpowiedzialny za ataki na WTC i Pentagon w 2001 roku. Że jest winien śmierci tych kilku tysięcy ofiar. Gdzie jest akceptowalna zasada, że wolno go zastrzelić bez sądu, bez aktu oskarżenia, bez prawa do obrony, do sprawiedliwego sądu?

W wyroku wojny w Iraku zginęło ponad 650 tysięcy Irakijczyków, w większości ludności cywilnej. W Afganistanie kolejne tysiące. Jakim prawem? Za czyją zgodą? Na jakie podstawie? Polski dziennikarz, „relacjonując” akcję amerykańskich komandosów w Pakistanie, napisał, że żywy Osama byłby kłopotem, dlatego lepsza jest „kulka w łeb”.

No cóż, 20 tysięcy żywych oficerów w Ostsztoczku, Starobelsku, Kozielecku byłoby dla Stalina kłopotem. Lepsza była kulka w łeb w Katyniu. To chyba mało popularny pogląd w Polsce. Ale dlaczego?

W ogóle najdotkliwsze problemy z wieloma grupami i jednostkami najłatwiej zbijać kulką w łeb. Dlaczego więc tak nie robimy? Cywilizacja życia? Kogo obejmuję, a kogo nie? Te śmieszne prawa człowieka? Jak można jednym głosem wołać o wolność dla więźniów politycznych, studentów i krzyżaków, że skrytobójcy, w nocy, na oczach dziecka, rodziny egzekucji dokonuje elitarny oddział żołnierzy najwęższej armii „cywilizowanego świata”.

Jak to możliwe, że prezydent z grupą najbliższych współpracowników i współpracowniczek oglądają transmisję na żywo zbrodni, która sarni zarządził? Jeśli są obrazy absolutnej kłeszy cywilizacyjnej, cywilizacji, która uważa się za największy wykwit ludzkości w historii, to takim obrzaniem będzie to zdjęcie z Białego Domu. Pozornie jedyna Hillary Clinton sprawia wrażenie przerażonej tymi, co widzi.

Ale tak naprawdę jest jak inni przeczytali. Twarda. I dumna. Świat odgrywa przygotowaną dla niego rolę skrajnego idiooty bez wątpliwości i zadania jakichkolwiek wyjaśnień.

Rzyganie tym. A wy, bohaterowie wojny z terroryzmem, którzy w naszym nie jaściejściej lepsim od tych, którzy stanowią ową niby straszliwie zagrożenie, jaściejście jedynym bezkarnym terrorem. Nie ma zgody. To nie jest nasz świat, nasze zasady.

TWÓJ PRZEKRÓJ

„Kochankowie wielkich maszyn” to portrety członków Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Kolei w obiektywie Piotra Zatonia.

www.przekroj.pl

Zdjęcia i melodię (dużym, a nawet całym) Cytreniku. Malujesz? Komponujesz? Fotografujesz? Piszesz? Po prostu twórzysz? „Twój Przekroj” to miejsce dla Ciebie. Wsłój nam swoje prace i podchwal się. Możesz nawet coś opublikujemy. Czekamy na www.przekroj.pl pod adresem twój@przekroj.pl



SIMPLY CLEVER

ŠKODA



ŠKODA Yeti Miejski. Ale z pazurem.

Poczuj zew miasta i odkryj jego dziką naturę. Przygoda zaczyna się w salonach Škody i na www.skoda-auto.pl.

Škoda Yeti teraz już od 57 900 zł.

ŠKODA Kredyt



Uśredniona wartość zużycia paliwa i emisji CO₂: Škoda Yeti 4,7-10,1 l/100 km, 125-237 g/km. Informacje na temat przydatności do odzysku i recyklingu są dostępne na www.skoda-auto.pl